



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICJI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Potop biblijny. — Kazanie księdza Makarego. — Prusacy w Frankfurcie. — Przegląd beletrystyczny. — Korespondencja z Paryża. — Z kraju i z zagranicy. W Dod: Renata, przez Stefana Marcel.

POTOP BIBLIJNY

i

peryodyczne potopy ziemi.

Pod tym tytułem pan Erazm Majewski wydał dosyć obszerną broszurę, godną bliższego z nią zaznajomienia się. Przytoczone w niej dowodzenia ściśle naukowe, poparte spostrzeżeniami z całej kuli ziemskiej zebranymi, nietylko w przedmiocie tak drażliwym, w niczem nie ubliżają powadze religii i zapewnieniu Pisma Ś-go, że nigdy ziemia potopem karana nie będzie, ale przeciwnie podnoszą wiarę wykazując niepojętą wszechmocność równie niepojętego Stwórcy, czasu bez początku, przestrzeni bez granic i światów bez liczby. Utrzymujący, że dociekania podobne prowadzą do niewiary, krzywdzą naukę i religię, wyobrażając sobie tym sposobem naukę jako zbiór fałszów a religię jako systemat oparty na ciemności i ślepej wierze.

Dlaczegożby, powiada dzisiejszy Papież Leon XIII, w pięknym swem dziele: *Kościół i cywilizacja*, dlaczegożby Kościół miał zazdrościć naszej epoce tych zadziwiających postępów, do których doszła przez swe badania i wynalazki? Jestże w nich coś takiego, coby mogło pośrednio lub bezpośrednio zachwiać pojęcie o Bogu i Wiare, których Kościół jest stróżem? Bakon Werulamski, który zasłynął z umiejętności fizycznych, powiedział: że mało nauki odwraca człowieka od Boga; wiele nauki do niego powraca. Złote te słowa zawsze jednakowo prawdziwe! To też jeżeli Kościół słusznie lęka się spustoszeń jakie roznieść mogą *pyszalki*... z zupełną za to ufnością polega na tych, którzy władzy swego rozumu używają na poważne

i głębokie badania natury. On wie, że w końcu tego badania spotkają się z Bogiem i że w dziełach Jego mogą znaleźć zawsze nieprzeparte dowody Jego potęgi, mądrości i dobroci.

Zjawiska przyrody, powiada autor, niezmiernie silne sprawiały na człowieku pierwotnym wrażenie. Niemogąc sobie ich wytłomaczyć, na podstawie praw przyrody, których nie znał jeszcze, przypisywał je istotom podobnym sobie, tylko doskonalszym, potężniejszym i niewidzialnym. Zaludnił też ziemię dobrami i złymi duchami, które wszechwładnie rządziły naturą. Każde drzewo, strumyk, kamień były siedliskiem niewidzialnych istot, bóstw i demonów. Co się działo, działo się jedynie za ich przyczyną.

Pojęcie to antropomorficzne nie zmieniło się nawet wobec powstającego słońca wiary w jednego Boga-Stworzyciela. Zostały zabytki z pierwotnych owych poglądów: należy do nich wiara w bezpośredni wpływ sił nadprzyrodzonych na człowieka a więc i na przyrodę, brak pojmowania związku pomiędzy zjawiskami oraz to zarozumiałe wyobrażenie, że człowiek jest celem i ogniskiem całego stworzenia. Sam Stwórca nawet nie przestał być podobnym do człowieka, chociaż różnił się od niego wszechmądrością i doskonałością, a wszystko co czynił, czynił to jedynie dla człowieka.

Dopiero pilne obserwowanie zmieniło to wyobrażenie i obudziło niepokój w duszach ludzi myślących. Wszędzie poczęli spostrzegać zależność zjawisk jednych od drugich i niezmiennie prawa w ich następstwie. Bóg usunął się niejako od kierownictwa osobistego światem, zostawiając go własnemu siłom. Człowiek poznał że i sam podlega owym prawom jako członek przyrody — a panem może zostać przez potęgę ducha którego czuł w sobie.

Odtąd datuje się przyspieszony rozwój człowie-

ka w dziedzinie ducha i myśli. Człowiek stara się poznać naturę i uczynić ją sobie posłuszną. O ile został przez odkrycia swoje poniżonym w hierarchii świata, o tyle przez wznioślejsze pojmowanie celu stworzenia wywyższonym i uszlachetnionym. Nauka nie zachwiała wiary w Boga i zachwiać nie może nigdy: uduchowiła tylko i zbliżyła do prawdy wyobrażenia o nim.

Wyznajemy, że Bóg jest mądrym, wszechwiedzącym i nieomylnym. Czyż doprawdy ci, co pragną widzieć np. w potopie fakt nadprzyrodzony, ujrzą przez to potęgę Boga w większym blasku? Bynajmniej! Wszystko co się bardzo rzadko trafia i trudne jest do wyjaśnienia, dziwi nas i przeraża i zaraz jesteśmy pochopni do upatrywania w tem czegoś cudownego. Pomnijmy, czyż mało cudownych, dziwnych i niedających się dotąd wyjaśnić rozumowaniem ludzkim rzeczy, mamy przed oczami? Gdzie tylko zwrócić badawcze oko, w świat teleskopowy czy mikroskopowy, wszędzie spotykamy tyle tajemnic, tyle nadzwyczajnych rzeczy, których przyczyn próżno dociekamy, że mimowoli człowiek myślący nazywa je niepojętymi i cudownymi. A czyż najdziwniejsze zjawisko różni się czem od najprostszyc i zwyczajnych? Wszystkie prawie są równie niepojętymi w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Wszędzie pełno nierozwiązanych zagadek choć wyjaśnić dużo, czyż więc dlatego, że bezpośrednio, materialnej przyczyny zjawiska jakiego nie znamy, należy zaraz powoływać się na siły nadprzyrodzone? Czyż nasza nieświadomość upoważnia nas do tego? Raczej ukorzyć się nam wypada przed niepojętym Stwórcą i pracować przynajmniej nad poznaniem dzieł Jego.

Na takiejto opierając się podstawie, autor stara się rozebrać naukowo jedno z donioślejszych zjawisk, jakim jest potop, który zostawił po sobie nietylko niezatarty ślad w pamięci wszystkich lu-

dów, ale i na samej ziemi pokazującej wszędzie następstwa strasznego kataklizmu przez jaki przeszła.

Nauka zbierała je troskliwie, rozważała, porównywała, starała się wyłomaczyć ich przyczynę, aż wreszcie po długich dociekaniach i zastanawianiach, ułożyła hipotezę, której rozwinięcie i wyjaśnienie uskutečnił p. Majewski w wydanym przez siebie dziełku. Autorem tej hipotezy jest matematyk i geolog Alfons Józef Adhémar, według którego *ciepło* było głównym czynnikiem potopu i nie tylko spowodowało potop biblijny, ale również na mocy praw rządzących całym systemem słonecznym, ma wywołać i w przyszłości podobne potopy w stale oznaczonych peryodach.

Pomijając dowodzenie bardzo zasadne, zgodności tej hipotezy z tradycją Pisma Ś-go, przechodzimy odrazu do przedstawienia jej samej.

Otóż, powiada autor, że ziemia w biegu swym rocznym nie opisuje koła lecz elipsę, w której słońce leży o 700,000 mil bliżej jednego wierzchołka niż drugiego. Gdy się znajduje w punkcie przysłonecznym (*perihelium*) czyli gdy dobiega wierzchołka bliższego słońca, wtedy na półkuli naszej ziemi mamy zimę: gdy zaś po półrocznym biegu ziemia dostaje się na przeciwległy punkt, odsłoneczny, czyli najwięcej oddalony od słońca, wtedy przypada nasze lato. Przyczyną zaś tego, iż choć znajdując się bliżej słońca zima na naszej półkuli panuje, jest pochylenie się ziemi ku północy, przez co mając krótsze dni otrzymujemy od słońca promienie skośno na ziemię padające, które, jako rozproszone na większej powierzchni, mniej takową ogrzewają. Ciepło bowiem w jednakowej ilości spływa na ziemię, czy ona bliżej, czy trochę dalej od słońca się znajduje, a różnica w skutkach pochodzi wyłącznie od nachylenia powierzchni na którą padają promienie. Im nachylenie to większe tem skutek słabszy, bo ta sama ilość promieni rozprasza się na większej płaszczyźnie. Drogę swą półroczną do punktu przysłonecznego i od niego ziemia przebywa w krótszym naturalnie czasie, a ten zysk na czasie powiększa się jeszcze przez silniejsze przyciąganie słońca. Długość też pór roku na naszej północnej półkuli nie jest równą długości pór na południowej i do roku 1248 naszej ery, gdy jesień zimą na naszej półkuli trwała dni 178³/₄, wiosna z latem trwała 186¹/₂ dni. W czasie tym na południowej półkuli działo się zupełnie przeciwnie: zimniejsze półroczce wynosiło dni 186¹/₂, cieplejsze 178³/₄. Przewyżka ta ciepłych dni naszej półkuli poczęła się na lat 10,500 przed rokiem 1248 przed Narodzeniem Chrystusa. Na południowej półkuli rzecz miała się przeciwnie: *wiosna z latem były krótsze od jesieni i zimy o dni siedm.*

Przewyżka jednak dni ciepłych niezawsze była udziałem jednej półkuli, że szkoda drugiej i gości to na jednej to na drugiej, a okres jej trwania na każdej liczy się 10,500 lat. Przyczynę tego starać się będziemy objaśnić.

Równik ziemi z płaszczyzną elipsy przecina się dwa razy do roku, raz w punkcie przysłonecznym drugi raz w odsłonecznym. Punkta tego przecięcia nazywają się punktami przesilenia dnia z nocą, pierwsze zimowem a drugie letniem. Pierwotnie sądzono, że to przecinanie się następuje zawsze w jednym i tem samym miejscu, ale już Ptolemeusz wykazał, że co rok przecięcie posuwa się w kierunku przeciwnym biegowi ziemi skutkiem zwiększonej siły przyciągania słońca. Punkta te przecięcia na przejście w podobny sposób całej elipsy potrzebują lat 21,000 i peryod ten nazwano

rokiem Platona: ale że dla odmiany warunków wyżej wymienionych dla obu półkul potrzeba aby punkta równonocne tylko pół kręgu wielkiej elipsy przebyły, okres więc tej zmiany wynosi połowę oznaczonej cyfry, czyli lat 10,500.

(D. n.)

KAZANIE KSIĘDZA MAKAREGO.

GAWĘDA

przez

Ludwika Niemojowskiego.

U nas po dworach szlachty wioskowej
Nie żyją błazny. Wszystko to ludzie,
Krzepcy umysłem, co w znojów trudzie
Czerpią hart ducha jedny a zdrowy;
Každy dnia sprawy z czystym sumieniem
Począwszy, prawej ima się drogi.
Kogo zaś dojmie w życiu los srogi,
Wiara mu bodźcem, kościół schronieniem,
Tak, że choć bieda na kark się zwali,
Ugnębi troska, przydusi praca,
Człek zmówi pacierz, Boga pochwali,
I znów mu spokój miniony wraca.—
Boć to wiadomo, iż z braku wiary
Wyrasta owoc doczesnej kary.

Inaczej w mieście. Króla przykłady,
Co się francuzkim przejął narowem,
Zatarły w ludzi poczuciu zdrowem,
Przy zmianie stroju, cnót dawnych ślady.
W plugawych środkach nikt nie przebiera,
Chcąc grosz zagarnąć — a ta przemądra
Zgraja, by umu dobrać się jądra,
Maksymy szpetne głosi Woltera;
Tak, że on żywot, jaki tu wiem,
Pleśnią porasta wśród ich pojęcia,
A Radziwiła, naszego księcia,
Litewskim, panie, zowią niedźwiedziem,
Drwinkując w nader sromotny sposób,
Nad pobożnością statecznych osób.

Pewnego razu kuso przyodzian,
Z peruką na łbie, szybeczką w oku,
Z harapem z tyłu, różnem przy boku,
Zjawił się u nas podobny młodzian. —
Był to pan Ordon, krwi znamienitej,
Zacnego rodu i parenteli,
Równie po mieczu jak po kądzieli,
Noszący w herbie godło „Jelity”.
Cóż? gdy zmieniwszy żupan na pludry,
Szablę na rożen, kontusz na fraczek,
Ów niedorosły mospanie żaczek,
Z Bożym zakonem chciał iść na udry,
I jako ślepiec, co widzi we dnie
Mroki, rozliczne prawil nam brednie. —

Bywało, mawiał: „kiedy przestworze
Świata swym wzrokiem zmierzę na okół,
Widzę, że nawet skrzydlaty sokół,
Do sfer niebieskich wznieść się nie może,
A cóż dopiero człowiek? Toć lichy
Takowy rozum, który na zmyśle,
Nie mogąc wniosków oprzeć swych ściśle,
Święcie w to wierzy co bają mnichy.”
Gdy kto jał przeczyć on się zaperzył
Wołając: „furda! to ino w świecie

Jest co się rodzi — i Tomasz przecie
Wprzód pomacał, potem uwierzył —
Mnie też niełacno w teorii owej,
Zwieść z prostej drogi marnemi słowy.”

Przyszła niedziela — co żyło ino,
Dąży w świątynię zmówić pacierze,
Więc i on francik, chociaż nieszczerze
Na mszę z skwaszoną podążył miną,
I zajął miejsce. Właśnie w te strony,
By lud w rygorze utrzymać wiary,
Przybył z klasztoru ojciec Makary,
I słowo Boże głosił z ambony. —
A był to pater słynny z swej cnoty,
Tak że gdy kazał, wszyscy dokoła
Przed świętem słowem chylili czoła,
Hydząc się mrosnych grzechów sromoty,
Miękkła czeza pycha, nikł szał rozpusty,
Krasomówczemi zwalczone usta.

„O mili bracia!” rzekł drżącym głosem,
Kiedy pomyślę nad życia chwilką,
Co zdźbłem jest w dziejach wieczności tylko,
Nad srogim waszym boleję losem;
Bładzicie wszyscy, ale ten zgola
Upadł najniżej, który bezwiednie
Na schwał powtarza półmędrków brednie,
Nie czcąc prawd świętych, matki kościoła.
Dowodów chcecie czczych słów szermierze,
A więc wczytajcie się w żywe księgi
Wszechbytu, tam jest ogrom potęgi,
Co z Boga jeno początek bierze,
Tam i niknący przed wzrokiem atom,
W twórczej swej sile równa się światom.

Zasię gdy wszystko wiekowym śladem
Ruchu, przetwarza nasz świat niezmierny,
Możnali sądzić, by ów misterny
Byt istot, kończył się rozkładem?
Możnali, pytam? Nie, z onej pleśni
Powstaje życie; serafów chóry
Brzmia wiernym w akkord cudownej pieśni,
A bies zaprzańca chwyta w pazury.
Chwyta i dusi ze złością wściekłą,
Pośród zaś strasznych mąk i katuszy
Wrzeszczy bestyjstwo każdemu w uszy:
„Nie chciałeś nieba — masz teraz piekło,
Jęcz, kwęcz i skomlij płacziwym głosem,
Nikt nie zmiłuje się nad twym losem.”

Piewszych słów z miną dość obojętną,
Słuchał pan Ordon, lecz gdy dobrodziej
Coraz dobitniej rzecz swą wywodzi,
Wśród żył mu krwawe zabiło tętno,
Zimny pot strugą spłynął po czole,
Włosy na głowie dębem powstały:
„Pfe, to paskudnie!” szepnął drżąc cały,
„Tak być smażonym w gorącej smole.”
Tandem, chcąc oną złagodzić sprawę,
Nagłem ferworem, nasz niedowiarek,
Przestawszy dalszych z niebem frymarek,
Bije się w piersi marmocząc *ave!*
I woła padłszy przed ołtarz plackiem:
„Zmiłuj się *Panie* nad grzesznym *Jackiem!*”

Odtąd wytkniętym stąpając torem,
Rzuciwszy marne półgłówek brednie,
Co spokój duszy mącą bezwiednie,
Stał się swą cnotą dla wszystkich wzorem,
A przekonany że naszą młodzież,
Zachodu narów ku złemu wabi,
Zmienił rożenek i ubiór szwabi
Na staroswiecką ojców swych odzież, —

Nie dosyć na tem, chcąc skruczą stałą
Wysnuć przyszłego zbawienia wątek,
W każdą sobotę, środę i piątek
W okrutny sposób ćwiczył swe ciało;
Ztąd sens; że czczych słów teorię ową,
W proch zmiażdży jedno pokory słowo.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

(Dalszy ciąg.)

Potem zwracając się do hrabiego von Freyberg, który wybierając się na polowanie, przyszedł powitać przyjaciela w zwykłym swoim myśliwskim ubiorze, rzekła do niego:

— Pan przynajmniej zdrów jesteś bo widzę wybierasz się na polowanie. Czy wiesz, hrabio, że ten twój strój styryjski przywodzi mi na pamięć miłe wspomnienie z mej młodości. Kiedy, tak coś pięćdziesiąt dwa lat temu, pierwszy raz zobaczyłam przyszłego mego, pana von Beling, na balu kostiumowym w 1814 roku, miał właśnie taki kostium na sobie. Był wtedy w pana wieku. W pośród balu — przypominam to sobie jakby to było wczoraj — nadeszła wiadomość o wylądowaniu tego utrapionego Napoleona. Mówiono iż jeśliby znów zasiadł na tronie, że kto żyje wyruszy przeciw niemu na wojnę, i każda z nas wybrała sobie rycerza, którego upoważniłyśmy do noszenia naszych kolorów podczas całej tej wyprawy. Idąc wzorem innych, za mego rycerza obrałam pana von Beling, choć, prawdę mówiąc, — ponieważ w gruncie duszy pozostałam Francuzką — nie mogłam mieć żalu do człowieka, który Francją uczynił tak wielką. Żartobliwa ta nominacja na rycerza noszącego moje barwy, była powodem, że pan von Beling zaczął bywać w naszym domu, ponieważ jak mówił, potrzeba, aby rodzice potwierdzili moje upoważnienie. Napoleon znów zasiadł na tronie, więc pan von Beling musiał wracać do pułku, ale pierwaj oświadczył się o moją rękę. Kochałam go, więc został przyjętym. Postanowiono, że pobierzemy się po skończonej kampanii; na szczęście nie była długą, pan von Beling powrócił, pobraliśmy się, choć prawdę mówiąc, w głębi serca miałam do niego trochę żalu, że w jednej trzechkroćstotysięcznej części przyczynił się do stracenia z tronu mego bohatera. Nigdy jednak nie zdradziłam się z tem i żyliśmy szczęśliwi.

— Babuniu kochana, czy czasem pan von Beling nie przykleknął przed tobą prosząc o zaszczyt zostania twoim rycerzem?

— A jakże, i bardzo zręcznie tego dokonał, odrzekła wesoło staruszka odmłodzona wspomnieniami.

— Czy zręcznie jak mój przyjaciel Karol? Pani von Beling spostrzegła w tej chwili, że hrabia ukląkł przed nią.

— A toż co! zawołała śmiejąc się, czyżbym nie wiedząc o tem odmłodniała o lat pięćdziesiąt?

— Dobra moja babuniu, rzekł Fryderyk, podczas gdy Karol ujął i pocałował rękę sędziwej matrony, masz zawsze twoje siedmdziesiąt lat, i tak ci z niemi pięknie, iż nie oddałbym ani jednego, —

ale przyjaciel mój, Karol, także wybiera się na wojnę i prosi abys pozwoliła mu zostać rycerzem wnuczki twojej, Heleny.

— Doprawdy, czyż to moja wnuczka Helena jest już w tym wieku, aby mogła mieć swego rycerza?

— Ma lat ośmnaście, babuniu.

— Ośmnaście! właśnie w ośmnastym roku zaślubiłam pana von Beling!... Jest to wiek w którym liście odłączają się od drzewa, ulatując gdzie je unosi wicher życia... jeżeli więc i jej godzina wybiła dodała ze smutnym uśmiechem, niechże uleci jak one!...

— Ale, nigdy, nigdy tak daleko, babciu droga, aby usta moje nie mogły dotknąć codziennie ukochanej twojej ręki, wszystkich nas darzącej życiem! zawołała Helena, która cichutko, na paluszkach weszła do pokoju.

Uklękła obok Karola i ujęła drugą rękę staruszki.

— A! widzę teraz, zawołała staruszka, że przychodząc tu wpadłam w zasadzkę... Cóż mam teraz zrobić?... Nie wypada jakoś poddać się odrazu, wyglądałoby to na zakończenie z komedii.

— To też, babuniu, postaw pewne warunki, rzekł Fryderyk.

— Że zaręczyny mogą się odbyć kiedy narzeczeni zechcą, ale ślub, tak jak twój babuniu, dopiero po skończonej kampanii.

— Jakiej kampanii? zapytała zaniepokojona Helena.

— Dowiesz się później; tymczasem, Karol, jako twój rycerz, nosić będzie twoje barwy. Jakież wybierasz?

— Zielone, odrzekła.

— A więc, jeżeli tak, to już je nosi, odrzekł Fryderyk, wskazując szeroką zieloną wstążkę przy kapeluszu Karola, takiż kołnierz i wyłogi.

— I na cześć mojej narzeczonej, rzekł Karol von Freyberg podnosząc się, stu ludzi nosić je będzie wraz ze mną.

Wszystko ułożono na tem zaraz posiedzeniu, poczem Fryderyk wstał, Karol podał rękę pani von Beling i wszyscy udali się do baronowej aby ją o tem zawiadomić.

Tegoż wieczora dowiedziano się, że sejm zwołany został w Frankfurcie, na 15 tegoż miesiąca czerwca.

XIX.

Frankfurt nad Menem.

Teraz musimy pomówić nieco o mieście w którym odbywać się mają główne wydarzenia opowiedzianych przez nas dziejów.

Frankfurt jest jednym z ważniejszych miast niemieckich, nietylko z powodu znacznej liczby mieszkańców i handlu jaki prowadzi, jak ze względu politycznego stanowiska jakie zajmował jako miejsce posiedzeń Sejmu.

Sejm ten obowiązany był czuwać nad ogólnymi sprawami Niemiec i godzić spory jakie mogły zachodzić między państwami związkowymi. Prezesem sejmu bywał zawsze przedstawiciel Austrii. Sejm ten sięgający nader odległej starożytności, nie miał początkowo wyznaczonego stałego miejsca posiedzeń, i zasiadał już to w Norymberdze już w Ratzbonie, to znów w Augsburgu. Dopiero aktem kongresu wiedeńskiego, d. 9 czerwca 1815 roku, Frankfurt wyznaczony został na miejsce posiedzeń Sejmu Związku Niemieckiego.

Dzięki nowej ustawie, Frankfurczycy mieli prawo do jednej czwartej części głosów w Sejmie, trzy pozostałe części rozdzielały się między trzy inne wolne miasta: Hamburg, Bremen i Lubekę.

Wzajemnie za ten zaszczyt, Frankfurt zobowiązany był dostarczać Związkowi Niemieckiemu 750 żołnierzy i dawać ognia z dział w rocznicę bitwy pod Lipskiem. Wykonanie ostatniego artykułu napotykało z początku pewne trudności, ponieważ od roku 1808 wolne miasto nie miało szańców, a od 1813 armat; jednakże korzystając z pierwszych chwil zapału, otworzono podpisy na zakupienie dwóch dział cztero-funtowych, i od roku 1814, w dzień oznaczony, mógł się już rozlegać huk dział na cześć Świętego Przymierza.

O szańcach i mowy nie było. Zamiast starych murów i błotnistych fosów, Frankfurczycy ujrzeni miasto swoje otoczone ślicznym angielskim ogrodem, pod którego wspaniałemi drzewami mogą miłej używać przechadzki. Ze swemi domami pomalowanemi biało, cielisto i różowo, Frankfurt podobny jest do wielkiego bukietu kameli, ukrytego wśród krzewów. Grób burmistrza, któremu miasto zawdzięcza to upiększenie, wznosi się w pięknym labiryncie, gdzie codziennie między czwartą a piątą zgromadzają się całe rodziny mieszczańskie.

Nazwa Frankfurt powstała z wyrazów wolne przejście, a pochodzi od pałacu cesarskiego, który Karoloman zbudował w miejscu gdzie Men w bród przejść można. Pierwsza o nim wzmianka w historii sięga czasu odbytego tu w roku 794 koncylium, na którym rozbiegano kwestyą czci obrazów. Z pałacu dziś już ani śladu nie pozostało, tylko archeologowie utrzymują, że wznosił się w tem miejscu gdzie zbudowano następnie kościół Ś-go Leonarda.

Kolonję Sachsenhausen założył Karoloman zdaje się w r. 796 osadziwszy tu Saksonów, których wzięwszy w niewolę ochrzcić kazał.

Już w roku 838, Frankfurt był otoczony murem i posiadał własne sądy, a w roku 853 Ludwik Niemiecki podniósł go do godności stolicy Wschodniego państwa Franków, rozszerzył znacznie, wznosił kościół Zbawiciela, i zgodnie z dawnym obyczajem, ustanowił na przyległym placu doroczny jarmark jesienny.

Zwyczaj obierania cesarzy w Frankfurcie rozpoczął się od wielkiego książęcego domu Szwabskiego, którego sama nazwa smutne i przerażające na pamięć przywodzi wspomnienia. Odwdzięczając się za wybór cesarz Ludwik Bawarski, zapewnił miastu znaczne korzyści, a w ich liczbie prawo odbywania dwutygodniowego jarmarku podczas postu wielkiego, który nosił nazwę Wielkanocnego.

Cesarz Gontran Schwardenburg, podtrzymywany przez Senat i obywateli frankfurtskich, umarł w tem mieście 14 czerwca 1349 r., jak utrzymują skutkiem otrucia. Przeciwnik jego, Karol IV Złotą bullą wydaną w 1356 r. wyznaczył Frankfurt za stałe miejsce obioru cesarzy świętego państwa rzymskiego, bulla ta składa się z 30 artykułów, a głównym jej celem było położenie kresu długim bezkrólewiom i krwawym walkom.

Bulla złota nastęrczyła cesarzowi Napoleonowi sposobność dania dowodu wybornej pamięci. Pewnego dnia, po zjeździe erfurtskim, obiadował z kilku monarchami; z rozmowy wypadło coś mówić o bulli Złotej, która aż do utworzenia Związku Reńskiego, służyła za podstawę elekcji cesarzów. Obecny książę prymas zaczął rozbiierać niektóre ustępy tej bulli, ogłoszonej, jak powiedział, w roku 1409.

— Zdaje mi się, że książę primas się myli, rzekł Napoleon; o ile sobie przypominam bulla ta została ogłoszona w 1356 r.

— Wasza c. m. ma słusność, odrzekł przypominając sobie primas, ale to rzecz niepojęta, że w. c. m. tak doskonale pamięta datę ogłoszenia bulli — nie dziwiłbym się gdyby szło o jaką ważną bitwę.

— Czy życzy sobie książę primas poznać tajemnicę tej, jak mówi, zadziwiającej pamięci? odrzekł cesarz.

— Wielką nam tem w. c. m. zrobisz przyjemność.

— Otóż, mówił cesarz, kiedy byłem podporucznikiem artylerii...

Usłyszawszy te słowa, dostojni biesiadnicy okazali tak wielkie zadziwienie i zaciekawienie zarazem, że cesarz nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, poczem mówił dalej:

— Tak więc, gdy miałem zaszczyt być podporucznikiem artylerii, trzy lata stałem garnizonem w Walencji; nie lubiąc zabaw i towarzystw, prowadziłem życie bardzo samotne. Szczęśliwym trafem mieszkałem naprzeciw bardzo światłego i nader uprzejmego księgarza, i pocziwy ten człowiek pozwolił mi dowolnie brać do czytania książki ze swej księgarni. Podczas mego pobytu w mieście przeczytałem parę razy wszystko co posiadał, i dotąd nie zapomniałem nic z tego com tam przeczytał, nawet daty ogłoszenia Złotej bulli.

W roku 1339 Frankfurczycy przegrali bitwę pod Eschborn, burmistrz ich Winter von Wasem i 600 obywateli wraz z kapitanem Rule von Schweinsheim zostali wzięci do niewoli, a stu poległo na placu boju. Jeńców wykupiono za 73,000 florenów złotem.

Wojna Trzydziestoletnia zamieszła także spokój cesarskiego miasta; Gustaw Adolf wszedł do niego pomimo opozycji Senatu (17 listopada 1631 roku) i pozostawił garnizon złożony z 600 żołnierzy, który dopiero w 1635 roku został wypędzony przez Lamboya z Sachsenhausen.

Frankfurt rządził się jako tako, jako miasto municypalno-cesarskie, aż do chwili gdy został zbombardowany przez Francuzów i nareszcie nadany przez Napoleona księciu prymasowi Karolowi von Dalberg i stał się stolicą wielkiego księstwa frankfurckiego.

Najgodniejszym widzenia z gmachów Frankfurtu jest bez zaprzeczenia Roemer, wielki gmach w którym mieści się sala Elektorów, w której odbywały się następnie posiedzenia senatu miasta, i sala Cesarska, w której ogłaszano wybór cesarzy, od Konrada do Leopolda II-go i z tego to powodu budujący ją budowniczy urządził w niej tyle nisz ilu następnie monarchów miało nosić koronę cesarską. W chwili wyboru Franciszka II-go wszystkie nisze zostały wypełnione, tak iż nie pozostawało żadnej dla nowego Cezara. Długo bardzo rozprawiano nad tem gdzie umieścić jego portret, aż w roku 1805 stare cesarstwo germańskie runęło od huku armat z pod Austerlitz, i dworacy nie potrzebowali już łamać sobie głowy o miejsce dla postaci cesarzy.

Dziwna rzecz, iż budowniczy, jakby proroczym ożywiony duchem, przewidział i urządził tyle nisz ilu było cesarzy.

Od Konrada aż do Ferdynanda II-go to jest od 911 do 1556 r. koronacje odbywały się w Akwizgranie. Szereg cesarzy obranych w Frankfurcie rozpoczął Maksymilian II-gi w 1564 roku i od owej chwili w tej sali proklamowano cesarzy i nazwano ją cesarską, Kaisersaal.

Wtedyto powstał pomysł zamieszczenia w niszach zdobiących do koła salę portretów wszystkich cesarzy niemieckich, obranych i koronowanych od czasu wygaśnięcia rodu Karlomana, pozostawiając wakujące dla przyszłych.

Otóż było do owego czasu 36 cesarzy koronowanych w Akwizgranie, doliczając Maksymiliana już tylko ośm nisz miało pozostać niezajętych — zdawało się to bardzo mało — a jednak ani jednej więcej nie było potrzeba. W roku 1794 czterdziesty piąty cesarz niemiecki zajął 45-tą niszę — i był to już ostatni. Wraz z wypełnieniem sali runęło cesarstwo niemieckie.

„Tym nieznanym budowniczym, mówi Wiktor Hugo w swej księdze o Renie, było przeznaczenie. Ta sala tajemnicza ze swemi 45 niszami, to dzieje Niemiec, które po wygaśnięciu rodu Karlomana, miały ograniczyć się do 45 cesarzy.

„Jakoż w tej sali podłużnej, rozległej, zimnej, prawie ciemnej, wypełnionej w jednym rogu starymi gratami wśród których dostrzegłem skórzany stół Elektorów; w tej sali zaledwie oświetlonej pięcioma wązkimi oknami, pod sklepieniem zdobnym niegdyś złoceniami, samotni, w pół-cieniu zakrawającym na początek zapomnienia, grubo namalowani i odtworzeni w brązowych popiersiach, na podstawach których mieszczą się daty rozpoczęcia i końca panowania, jedni uwieńczeni laurem jak rzymscy cesarowie, inni ukwieceni germańskim dyademem, spoglądają na siebie milcząco ze swych ciemnych nisz: trzech Konradów, siedmiu Henryków, czterech Otonów, jeden Lotaryusz, czterech Fryderyków, jeden Filip, dwóch Rudolfów, jeden Adolf, dwóch Albertów, jeden Ludwik, czterech Karolów, jeden Waclaw, jeden Robert, jeden Zygmun, dwóch Maksymilianów, trzech Ferdynandów, jeden Mateusz, dwóch Leopoldów, dwóch Józefów, dwóch Franciszków, razem 45 widm którzy przez dziewięć wieków, od 911 do 1806 roku przesunęli się przez dzieje świata ze szpadą Ś-go Piotra w jednej, z globem Karlomana w drugiej ręce.

Po ukończonym obrządku w katedralnym kościele Św. Bartłomieja, znanego powszechnie pod prostą nazwą Tumu, nowo obrany cesarz w towarzystwie wyborców wracał do miasta, to jest do Roemer i wchodził do wielkiej sali aby dopełnić i być obecnym na odbywanych w podobnych razach ceremoniałach i zwyczajach.

Elektorowie Trewiru, Moguncyi i Kolonii, przechodzili z lewej strony na prawą i stawali pod pierwszym oknem.

Cesarz w paradnym stroju, w płaszczu cesarskim, w koronie na głowie, z berłem i globem w ręku zajmował miejsce pod drugim oknem. Pod trzecim zasiadał pod baldachimem arcybiskup otoczony duchowieństwem.

Czwarte przeznaczone było dla posłów z Czech i Palatynatu.

Piąte, dla elektorów: saskiego, brandeburskiego i brunświckiego.

Za ukazaniem się tego dostojnego zgromadzenia na całym placu rozlegały się okrzyki i oklaski.

Opiszmy plac ten jakim był wtedy.

Na środku urządzone było ognisko, na którym pieczono całego wołu. Z jednej strony urządzona była fontanna, nad którą wznosił się orzeł dwójgłowy; z jednego jego dzioba lało się wino czerwone, z drugiego białe. Z drugiej strony placu leżała sterta owsa, dochodząca wysokości trzech stóp.

Gdy już wszystkie okna były zajęte, a cesarz, arcybiskup i elektorowie zasiedli swoje miejsca,

dawał się słyszeć odgłos trąbki; arcy-marszałek wyjeżdżał konno, wjeżdżał w stertę owsa aż po przęg siodła, napełniał nim srebrną kwartę, wracał do sali i przedstawiał ją cesarzowi.

Miało to oznaczać, że stajnie są zaopatrzone.

Trąbka odzywała się powtórnie, wielki podczas wyjeżdżał konno, dojeżdżał do fontanny i dwie srebrne czary napełniał winem, jedną białem, drugą czerwonym, i obiedwie przedstawiał cesarzowi.

Miało to oznaczać, że piwnice są zaopatrzone.

Po raz trzeci rozlegał się dźwięk trąbki; wielki krajczy wyjeżdżał konno, odkrawał kawał wołu i przynosił cesarzowi.

To znowu oznaczało, że kuchnia znajduje się w kwitnym stanie.

Nakoniec trąbka odzywała się po raz czwarty, na plac wjeżdżał konno wielki skarbnik — trzymając w ręku kiesę ze złotem i srebrnymi pieniędzmi, które rozrzucał między lud — na znak że skarbiec jest pełny.

Jak tylko skarbnik odjechał, między ludem rozpoczynała się bójka o owies, wino i wołu. Wogólności najczęściej ubiegano się o głowę wołu, kto ją posiadał, uważany był za zwycięzcę. Po dzisiejszym mieszczenie pokazują te głowy, zdobyte niegdyś przez ich przodków podczas pamiętnych uroczystości koronacyjnych.

Ludność Frankfurtu składa się najpierw z mieszczaństwa historycznie frankfurckiego, które tworzyło patrycyat starego wolnego i cesarskiego miasta, wyznaczonego Bullą Złotą na miasto koronacyjne. Z rodzin francuzkich, przybyłych do Frankfurtu po odwołaniu edyktu Nantejskiego, które inteligencją i zdolnością przemysłową górują nad resztą ludności. Z rodzin włoskich, u których pamięć wspólnego pochodzenia zapanowała nad wierzeniami religijnymi, i które choć katolickie, łączyły się zawsze z protestanckimi rodzinami francuzkimi. I nareszcie bankierska rzesza izraelska grupująca się około domu Rotschilda, jako około współwyznawcy. Oprócz tego jest cała dzielnica żydowska, w której pełno jeszcze jest żydów nienawidzących chrześcijan jak Shylock, jak nie brak w pospólstwie chrześcijan nienawidzących żydów jak Torquemada.

Cała ta ludność jest (a przynajmniej była) szczerze przywiązana do Austrii, ponieważ jej głównie zawdzięczała swe przywileje, niezależność i bogactwo. Wszystkie sfery społeczne, jakkolwiek różniące się pochodzeniem, językami i wyznaniem, łączą się we wspólnem przywiązaniu do domu habsburskiego, które może nie zdobyłyby się na ofiarę i poświęcenie, ale w słowach przynajmniej dochodziło do fanatyzmu.

Od roku 1815 do ostatniej wojny francuzko-pruskiej stały w Frankfurcie garnizonem wojska austriackie i pruskie; każdy liczył po 1500 do 2000 ludzi. O ile kochano tam Austyaków, o tyle nienawidzono Prusaków.

Pewnego razu jakiś oficer pruski oprowadzał dwóch przyjaciół po Frankfurcie, pokazując im co było ciekawego do widzenia. Weszli do katedry. W pośród rozmaitych *ex-voto* jak: serca, ręce, nogi, zakrystyan pokazał im srebrną mysz.

— A toż co? zawołał oficer.

Zakrystyan pochodził z Sachsenhausen, a wiadomo że mieszkańcy tej osady odznaczają się bystrością i dowcipem.

— Skutkiem jakiejś kary Bożej, rzekł, kiedyś, dawno już temu, cała dzielnica Frankfurtu zagrożona była zjedzeniem przez myszy — nic nie pomagało. Wtedy pewnej pobożnej pani przyszła

myśl kazać zrobić srebrną mysz, i jako *votum* ofiarować N. Pannie. W przeciągu tygodnia wszystkie myszy zniknęły.

Słuchający tej legendy okazali pewne zadziwienie, a Prusak rzekł:

— A to dopiero głupie bydło ci Fraukfurtezczy, żeby opowiadać i wierzyć w takie brednie!

— Opowiadamy, ale nie wierzymy, odrzekł zakrystyan; gdybyśmy wierzyli, oddawna już ofiarowalibyśmy Najświętszej Pannie srebrnego Prusaka.

Czytelnicy pamiętają zapewne, że Lenhart, woźnica Benedykta Turpin, także pochodził z Sachsenhausen.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami *almae matris*. — Kasia i Marynka, Gabryeli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta”. — Bicz koralu, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg).

Było to z małym wyjątkiem, właściwością niemal wszystkich figur stworzonych przez Gabryelę, jej własna indywidualność była tak wybitną, iż wszędzie stawała na pierwszym planie.

Kasia i Marynka posiada też ogólne zalety i wady wszystkich jej utworów. Widać tu głęboki zmysł obserwacyjny, oparty na szerokich pojęciach i subtelnej analizie. Wszystkie te przymioty razem zebrane, wytwarzały nieraz tak wielkie trudności, iż Gabryela upadając pod ich brzemieniem porzucała zaczęte dzieło.

Kasia i Marynka uległy temu losowi. Nie jest to bowiem dzieło przerwane ręką śmierci, ale jak nas objaśnia pan Chmielowski, który je zbierał i porządkował, autorka rozpoczęła je przed kilkunastu laty pod wpływem idei uległych zmianie, tak iż nigdy więcej nie odnalazła odpowiedniego nastroju i zostawiła na boku rozpoczętą pracę.

Dodać musimy, iż był to los wielu bardzo utworów Gabryeli, i że zbytek umysłowego bogactwa stanowił główną trudność w doprowadzeniu ich do końca.

Powód zresztą przytoczony przez pana Chmielowskiego, zastosować można do wielu autorów; często bardzo twórca przeszedłszy w inne kręgi myśli, porzuca swoją pracę, skoro ta poczęta w innej chwili, nie odpowiada więcej moralnej potrzebie i rozbrzmiewa innym kamertonem. Czasem zdarza się także, iż ostrożność wytrąca autorowi pióro z ręki, jeśli temat przez niego wybrany nie zgadza się z panującymi prądami.

Gabryelę do ostrożnych nie można było nigdy zaliczyć, przeciwnie, z nieopatrnością wielkich umysłów nie wahała się ona nigdy wypowiedzieć głębi swych przekonań jakkolwiek przekonania te nie licowały często z ogólnie przyjętymi.

Należała do rzędu tych, którzy mają w pogardzie wielkiej świat, jego względy i względziki, nie podejmowała z nim nierównej walki, nie próbowała tych kompromisów, które są nieraz koniecznością dla ludzi czynu. Marzycielska jej natura nie zdolną była do ustępstw żadnych. Stanowi to rys charakterystyczny, jej usposobienia i talentu, i tłumaczy nawet niedobory utworów, które olbrzy-

mie zakrojem, nie zdołały nigdy skryształizować się w dość konkretną formę.

Gabryela nie pojmowała czynnej walki ze światem, ponieważ stanęła z nim w antagonizmie, zanim postawiła krok pierwszy na drodze piśmienniczej, przedstawiał on jej się wówczas jako wyraz pewnego poziomu umysłowego, zastosowany do wszystkich warunków życiowych ale zastosowany wedle przeciętnej wiary, nieodpowiadającej wcale istotom, które jak grupa ludzi związanych z nią myślała i sercem, szukała jedynie prawdy, nieogładając się na żadne poboczne względy.

Jakkolwiek Gabryela nie raczyła walczyć ze światem życie jej całe było bojowaniem ciągłym, ale bojowaniem stokroć cięższym, bo z samą sobą. Porzuciwszy utarte szlaki i przyjęte powszechnie formuły wyrobione z góry na wszystkie wypadki życia, na wszystkie wątpliwości inteligencji i serca, i proste zwyczajowe rozwiązania życiowych trudności, Gabryela podjęła tytaniczną prawdziwie pracę rozwikłania najtrudniejszych zagadnień bytu wedle potrzeb własnej istoty.

Nie dziw, że na każdym kroku zahacza się o trudność nową, że wszystkie jej prace to szereg zapytań tem subtelniejszych im bujniej rozumiejąc i czując, głębiej też zapatrywała się na wszystkie stosunki i ich wzajemne oddziaływanie jednych na drugie.

Przymioty jej nawet były tego rodzaju, iż stanowiły przeszkodę do jasnego wypowiedzenia przekonań; zbyt była sumienną by wygłosić jakiegobądź zdanie bez dostatecznego przeświadczenia, nie dowierzała samej sobie, niezdolną była zadowolnić się jakimbądź półśrodkiem półprawdą, lub półpewnikiem. Brakło jej nadto metody naukowej a może w niektórych razach i konsekwencji, którą metoda wytwarza, wdrażając umysł do ścisłego rozumowania. Wpływały na to i okoliczności postronne i ludzie wywierający wrażenie na jej inteligencją, a nade wszystko moment, na który przypadła jej działalność i jego atmosfera moralna. Jak to w studium o niej wykazał dosadnie pan Chmielowski, która to atmosfera przesycona była mglistymi marzeniami i mistycyzmem zarówno religijnym jak społecznym i politycznym. A nadto Gabryela była z usposobienia marzycielką, na wpół poetką na wpół myślicielką, a nie posiadała tej niezwyklej zdolności, co spoiwszy te dwie różnorodne umysłowe siły, wytworzyła potęgę Leopardiego, z którym Gabryela posiadała jednak szlachetną pogardę dla wszystkich form, nawyknień i zwyczajów nieodpowiednich jej duchowej wierze, jednaką nieskalaną czystość i sumiennosc pióra, oraz pochopność badania.

Obok tych pierwszorzędných przymiotów, brakło Gabryeli wyobraźni, ujętej w pewne ramy powszedności; albo kreśliła obrazy niemające nic z rzeczywistością wspólnego, jak to widzimy w „Pogance”, albo też brakło zupełnie jej utworom powieściowego wątku, tworzyła świat legendy i fantazyi, jak np. „Dwór w Swierczowej”, a nie zdobyła się nigdy na zwykłą architekturę powieściową. Rzeczby można, iż miała pogardę dla zwykłej powszedności życia, gdyby nie to, że w opowiadaniach swoich umie tak cudownie opisywać i podnosić znaczenie najcodzienniejszych zdarzeń. Brak jej więc jedynie inwencji na zbudowanie powieściowej fabuły, czyli tutaj także, jak w dziedzinie myśli nie dostawało jej niezwyklej siły, któraby zharmonizowała rozpieczęte rysy i powiązała je w jedną organiczną całość. Autorka zbyt wyłącznie zajęta była rozumowaniami swemi, zagadnieniami jakie poruszała, by baczyła na cokolwiek innego.

Ztąd utwory jej budzą mnóstwo myśli, zachwycają nieraz bystrą obserwacją, mistrzowskim obrobieniem szczegółów, ale nie wywierają wrażenia, jakie dzieło sztuki wywołać powinno. Natłok myśli przeszkadza ich skupieniu, tak iż przeczytanie jej książki, czyni raczej wrażenie mnóstwa zagadnień, poruszanych niespokojną dłonią, niż zagadnienia jednego przeprowadzonego konsekwentnie przez szereg dowodzeń lub wypadków. Nie ma w niej chaotyczności, ale też nie ma ładu któryby świadczył, że autorka sama posiada jakie ustalone przekonanie, że przeprowadza te rozumowania ażeby dojść do pewnych z góry oznaczonych wyników.

I nie dziw, tych przekonań Gabryela nie posiadała nigdy, nigdy nie doszła do dokładnego rozwikłania własnej istoty, nie mogła więc dać czytelnikowi czego nie miała sama. Była to zasadnicza chyba jej utworów, którą tłumaczy szerokość horyzontów, jakie wzrok jej obejmuje, ale która pomimo to odbiera artystyczną okrągłość utworów i nie dozwala im wywołać właściwego wrażenia. Są to zarysy i rzuty olbrzymie, ale nie tworzące skończonego dzieła, szereg genialnych szkiców w których znać rękę mistrza, ale które nie stanowią skończonego dzieła.

Jednak pomimo te niedobory i braki, których wina spada w większej części na epokę wychowania i otoczenia Gabryeli, dla myślącego czytelnika dzieła jej mają stokroć większą wartość, niż tysiące powieści doskonale obmyślanych i przeprowadzonych konsekwentnie, ale wedle niższego poziomu, który często nie sięga po za sferę umysłowego zaścianka, tak jak są stokroć cenniejsze rozbite fragmenta greckiego posągu od doskonale gładkiej i wykończonej porcelanowej figurki.

Ogólne wady i zalety wszystkich utworów Gabryeli posiada i pośmiertny szkic: „Kasia i Marynka”, z tą różnicą, że wady są tutaj spotęgowane a słaba zwykle bardzo u niej nić intrygi, jest zupełnie porwaną. Dziwić się temu niemożna, skoro objaśnia nas pan Chmielowski, iż są to fragmenta bardzo dawne bo w 1860 roku zaczęte i pozostawione na boku, bo autorka nie mogła, czy nie chciała nadać im powieściowego całokształtu.

(D. c. n.)

KORRESPONDENCYA Z PARYŻA. O UBIORACH.

1 Lipca 1881 roku.

Lato sprowadziło niejakie zmiany w modach; tytce się to szczególnie okrywek i kapeluszy. Uważaliśmy bardzo ładne okrywki przygotowane do morza, z czarnego indyjskiego kaszmiru, podbite czarnym fularem. Są to wolno puszczone paletoty do kolan, bez rękawów, z otworem tylko na ręce. Zdobi je peleryna czyli kardynałka, przechodząca poniżej stanu. Tak u paletota jak i u peleryny ciągnie się szlak zahaftowany jedwabiem i dżetem; z brzegu naszyta frendzla dżetowa.

Noszą też bardzo kardynałki i mantyle z końcami z grubej siatki czarnej sznelowej, obszyte sznelową frendzlą. Strojnniejsze z nich przybrane złoćtemi lub stalowemi paciorkami.

Mnóstwo także widać na przechadzkach mantylek z bładyny hiszpańskiej czarnej, rozmiary ich rozmaite, stosownie do wieku i gustu. Wszystkie

przybrane pasmanterią z dżetem i kokardami z wstążki atlasowej czarnej.

Kapelusze znacznie większe mają rozmiary od tych co się ukazały na wiosnę. Najmodniejsze tak zwane japońskie z cienkiej słomki białej, czarnej lub też brązowej w złotym odcieniu. Rondo u nich szerokie, nad czołem nieco odwinięte do góry, podbite zwykle czarnym aksamitem, karczek równie szeroki, ułożony w trzy fałdy podniesione w górę, z pod których widać upięcie włosów. W koło główki idzie wieniec róż w rozmaitych odcieniach, lub długie strusie pióro.

Na wizytę lub do powozu przyjęte bardzo kaputki naszywane różnokolorowymi paciorkami, zwane *kameleon*. Ozdobę ich stanowi pęczek piór w odpowiednich, mieniających się odcieniach.

Noszą także pamele z ryżowej słomy włoskiej, ubrane gerlandką z krótkich piórek do cieniu, z pod karczka na warkocz spada pęk wąskich atlasowych wstążek. Rondo u niektórych podpinają kwiatami.

W tych dniach odbyła się sprzedaż fantów w Tuilleryjskim ogrodzie. Pogoda sprzyjała, stroje nadzwyczaj były świetne. Oto kilka całkowitych ubrań pełnych wdzięku i harmonii.

Suknia z czarnego fularu *surrah*; przód cały nagarniowany wolantami z hiszpańskiej koronki, od dołu aż do stanu. Tylny bryt nie odcięty od pleców stanika, ogarniowany w koło wodą i koronką, podpięty w festony, łączy się po bokach ze spódnicą, pękami pukli ze wstążki atlasowej. Przody stanika długie, od pasa ogarniowane koronką, rozchodzą się odkrywając garnirunek spódnicy. Kapelusik do tego ryżowy, podbity atlasem w koralowym czyli *krewetkowym* kolorze, opasany wieńcem róż w tychże samych odcieniach. Takież bukiet na piersiach upięty z boku przy żabocie z białej koronki. Rękawiczki czarne spięte na pięć guzików, przytwierdzone koralowemi bransoletkami. Parasolik czarny koronkowy na atlasie koloru *crevette*, rączka u niego koralowa.

Wiele uważaliśmy w ogólności czarnych sukien z gazy, atlasu, błędyny hiszpańskiej i t. d. wyliczymy je po kolei.

Suknia czarna z lekkiego adamaszku, przerabiana w bukiety koloru miedzianego, ubierana wolantami z błędyny hiszpańskiej. Kapelusik czarny błędynowy przybrany pękiem piór strusich, w kolorze miedzianym do cieniu.

Suknia czarna gazowa w deseń przerabiany dżetem, na czarnej atlasowej. Kapelusik *Van Dyck* z rondem podniesionem z boku, strojny pękiem piór w złotym kolorze.

Suknia czarna błędynowa na spódnicze morowej, podpinana kokardami z morowej wstążki, stanik dokoła przymarszczony. Kapelusik z cienkiej czarnej słomki przybrany rajskim ptakiem.

W kolorowych sukniach przemawiał kolor fioletowy, w fałszywym odcieniu, wpadającym w barwę czerwona, lub popielatą. Wiele też było sukien błękitnych, w rozmaitych odcieniach.

Oto kilka najładniejszych toalet.

1. Suknia z lekkiej tkaniny wełnianej, w kolorze habrowym, podpięta z jednego boku wielką kokardą morową na spódnicze *surrah*. Stanik z długą baskiną ściętą czworograniasto, brzegiem wyhaftowana gerlanda z bławatków. Kapelusik do tego słomkowy brązowy przystrojony bławatkami. Na piersi żabot koronkowy, przepięty wiązką bławatków.

2. Suknia czarna błędynowa na błękitnej atlasowej, podpięta kokardami z wstążki atlaso-

wej. Kapelusik czarny błędynowy, przystrojony wieńcem z błękitnych marabutów.

3. Kostium lilla z czarnem: spodnica z pekinu w atlasowe pasy w dwóch kolorach, nagarniowana z przodu czarną błędyną, u dołu wolanty z plisowanego atlasu i błędyny. Na wierzch czarna morowa poloneza, roztwarta z przodu, podpinana w fantastyczne festony. Kapelusik czarny słomkowy, przybrany pękiem bzu lilla. Na piersi takież bukiet.

4. Suknia lilla morowa, strojna koronką białą i kokardami aksamitnymi w odcieniu fioletowym. Kapelusik wielki ryżowy, strojny bukietem lilii fioletowych, takież sam bukiet przypięty do żabota na staniku.

5. Oznaczała się wśród innych suknia atlasowa popielata, zahaftowana paciorkami stalowemi. Kapelusik z koronki stalowej, przybrany pękiem popielatych marabutów i różą bladą-różową, ślicznie dopełniał stroju. Pęk róż mieszał się z żabotem koronkowym.

6. Oryginalna toaleta składała się z sukni białej przezroczystej w atlasowy biały groszek. Poniżej biodr przerzucona szarfa z wstążki morowej w brązowo-złotym kolorze, tworzyła w tyle wielką kokardę. Kapelusik brązowy słomkowy miał wpiętą z boku małą sowę z błyszczącymi oczyma.

7. Ubranie młodej panienki, składało się ze spódniczki różowej z fularu *surrah*: u dołu szły trzy plisowane falbanki z batystu w kolorze błękitno-popielatym. Na wierzch tunika batystowa, ogarniowana różową plisowaną falbanką, podpięta różowemi kokardami. Stanik batystowy mocno otwarty na różowym przymarszczonym. Kapelusik różowy, przybrany pączkami róż mchowych.

Rękawy u sukien bardzo obcisłe, sięgają ledwie za łokieć: noszą do nich rękawiczki duńskie, spięte najmniej na sześć guzików, przyciśnięte bransoletkami.

Żaboty białe koronkowe używają zawsze wielkiej wziętości, ale coraz częściej zaczynają zastępować je czarnemi z koronki hiszpańskiej. Do niektórych miesza się koronkę złotą albo stalową.

Woalki naszywane małąkami stalkami należą do najmodniejszych; noszą je głównie do kapeluszy, przybranych koronką lub pasmanterią stalową.

Do mniejszego ubrania uważaliśmy woalki do cieniu gazowe w rozmaitych kolorach: złotym, szafirowym, lilla, zielonym. Brzeg ciemny przytwierdza się do kapelusza, bład spada poniżej twarzy.

Kołnierzyki proste z odwiniętymi różkami w niczem się nie zmieniły. Do większego nieco ubrania, widzimy okrągłe batystowe, z szerokim obrębem, obszyte w koło koronką na pięć lub sześć cali. Mankiety do tego odpowiednie. U szyi i u ręki idzie oprócz tego wążuchna plisowana fryzka.

Na chłodne wieczory do morza przygotowano mnóstwo chusteczek wełnianych w różnych kolorach. Najmodniejsze czarne przerabiane nitką stalową; brązowe i morderowe przerabiane złotem.

Parasoliki na wieś lub do morza, powszechnie przyjęte, perkalowe w żywych kolorach ze szlakiem drukowanym w kwiaty. Strojniejsze robią z mory i atlasu podbite białą materią. Najstrojniejsze zdobią kwiatami lub pękami wstążek w kolorach odpowiednich do sukni i kapelusza.

Włosy układają bardzo nisko i skromnie: drobne loczki nad czołem powszechnie dziś przyjęte.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Parę tygodni temu, słynny astronom Gvuld, dyrektor obserwatorium w Kordoli, stolicy Rzeczypospolitej Argentyńskiej, zawiadomił astronomów europejskich, iż 1 czerwca była tam widziana wielka kometa z 1807 r. w takiej konstellacji, iż według ścisłych obliczeń astronomicznych, ku końcowi m. czerwca powinna w Europie być widzialna gołym okiem.

Kometa z 1807 r. była 118 z kolei obserwowaną na ziemi i obliczoną od roku 871 przed Chrystusem; w dniu 18 września 1807 roku przeszła przez swoje perihelium (to jest przez punkt największego swego zbliżenia się do słońca). Obliczeniem natury biegu tej komety zajmowało się dwunastu astronomów, a między nimi głośną cieszący się sławą: Bouvard, Damoiseau, Oviani, Gauss, a najgłośniej Bessel. Według najstarszych obliczeń tegoż Bessela, rzeczona kometa w swoim apohelium (największym oddaleniu od słońca, dosięga odległości 5,910 milionów mil, tak więc według tych obrachunków, kometa potrzebuje do pełnego biegu około słońca 17 wieków i 13 i pół lat. (1713 i pół) Bessel uwzględnił w obliczeniu ekscentryczności oraz wszelkie perturbacje jakim uleży może to ciało niebieskie podczas przejścia przez perihelium, z powodu oddziaływania mas planet naszego systemu, a szczególnie masy Jowisza, skutkiem czego cyfra czasu obiegu komety zmieniła się na 15 wieków i lat 40 $\frac{1}{3}$ (1543 $\frac{1}{3}$). Wprawdzie, w podobnych obliczeniach niepodobna domagać się bezwzględnej dokładności, a najmniejsza znowu niedokładność, szczególnie w oznaczeniu ekscentryczności, wywołuje ogromną różnicę w obliczeniu biegu czasu. Jednakże różnica taka mogłaby się różnić o dziesiątki lat, ale znów nie o kilkanaście wieków.

Nie zdaje się więc, aby to mogła być kometa z 1807 r., którą według obliczeń mianoby widzieć z naszej ziemi dopiero w 33 wieku naszej ery, skoro dopiero 74 lat ubiegło od jej przejścia — w takim razie trzeba by zwątpić o gruntowności spostrzeżeń astronomicznych, których ścisłość i dokładność jest przecie tylokrotnie udowodnioną.

Olbrzymia ta kometa pojawiła się na naszym niebie d. 23 czerwca, na północno-wschodniej części nieba, o 20 stopni nad poziomem. Oto co o niej pisze do „Wieku” pan Kowalski, adjunkt tutejszego obserwatorium astronomicznego.

„Kometa ukazująca się od dni kilku w północnej stronie nieba, należy do najświetniejszych zjawisk. Zkąd przybywa i czy gościła już kiedy w pośród ciał naszego układu słonecznego, o tem dowiemy się dopiero z dalszych spostrzeżeń i obliczeń. Do dziś żadne z postronnych obserwatorów nie nadesłało jakichś sprawozdań o tej komecie, choć niewątpliwie jest ona wszędzie na półkuli równie dobrze jak u nas widziana. Warkocz komety nie jest bardzo okazały, i żadnych szczególnych nie przedstawia oznak; głowa zato przewyższa swoim blaskiem gwiazdy pierwszej wielkości, a jądro jej, czyli środek, wydaje się nader zgęszczoną masą, tworzącą bardzo wyraźny krążek, dość znacznych rozmiarów. Materja otaczająca jądro, ulega jakimś szybkim przemianom, gdyż d. 24 czerwca miała kształt regularny, zaś 25 okazywała znaczne skupienie na jednej stronie głowy, a zwężenie na drugiej.

Kometa zmienia także szybko swe położenie na niebie; d. 24 znajdowała się w gromadzie gwiazd

Woźnicy, w bliskości jasnej gwiazdy zwanej kozą; na drugi dzień oddaliła się od niej ku biegunowi świata, o cztery stopnie. To samo dostrzeżliśmy dnia 26 czerwca. Wielki swój blask kometa zadnia 26 czerwca. Wielki swój blask kometa zadnia 26 czerwca. Wielki swój blask kometa zadnia 26 czerwca.

Przypatrujemy się więc świetnemu gościowi, oczekując orzeczenia uczonych astronomów jaki jest jej wiek i pochodzenie.

+ Czytamy w „Nowinach” artykuł pod n. „Kto więcej szkody przynosi społeczeństwu, marnotrawca czy?... ze wszech miar wart powtórzenia.

„Naszemu społeczeństwu wogóle, mniej czy więcej przychylni przyznają, że w ostatnich dwudziestu latach okazuje bardzo poważny postęp w dojrzałości i takcie. Oczywiście odnosi się to do warstw inteligentnych, nie zaś do massy ludowej, nie z własnej winy nader powolnie budzącej się do życia. Mówimy nie z własnej winy — bo massy nic temu niewinne, że nie ma przymusowej początkowej nauki, i że nauka początkowa nie jest przystępną. Możemy tedy powiedzieć, że społeczeństwo nasze jest na dobrej drodze — że jednak w najprawidłowszych warunkach musi odchodzić pewien procent na przestępców najrozmaitszych kategorii, to rzecz naturalna. Że więc musi odchodzić pewien procent i na złotą młodzież, która marnotrawi mienie, nieraz ciężko zapracowane przez ojców lub dziadów — i to złe znieść trzeba. Idzie nam o porównanie co większą szkodę przynosi społeczeństwu: czy ci co po cudze mienie sięgają, czy ci co doszłe do nich marnują? Nie wahamy się odpowiedzieć, że marnotrawcy większą przynoszą szkodę. Dochodzimy do tego wniosku przez następne rozumowanie. Złodziej jest pogardzony i ścigany przez samo społeczeństwo, przesładuje go zwykle prawo i ze społeczeństwa usuwa; przeciw złodziejowi przedsięwzięcia się środki ostrożności — co wszystko czyni ich mniej szkodliwymi dla ogółu. Ale jeżeli młodzieniec 24-letni, odziedziczywszy fortunę, np. 500,000 rs. urządza salodniczy, sprowadza z zagranicy zbytne ekwipaże, utrzymuje stangretów Anglików, Francuzów i różnych innych narodowości, których przepłacać musi, a robi to jedynie dla popisu — taki przynosi ogromne szkody społeczeństwu, bo najpierw wyprowadza pieniądze za granicę, a powtórę gotuje sobie złą przyszłość, bo straciwszy mienie będzie ciężarem dla drugich — po trzecie podobnie zły przykład jest zaraźliwym. Ludzie z natury mają skłonność do próżności; znajdują się więc zaraz inni, mówiący sobie: „Może on, mogę i ja”, tem więcej, że opinia publiczna zamało przesładuje marnotrawców; wielu pochlebia im i cześć oddaje, a prawo zaledwie się ośmiela podawać przeciw nim środki, ale nader słabe i niedostateczne. Niechby przynajmniej inteligencja i uczeni ludzie piętnowali marnotrawców jak należy.

+ Koło literackie we Lwowie ogłasza konkurs na napisanie książeczki o królu Janie Sobieskim, ze szczególnem uwzględnieniem wyprawy wiedeńskiej, oraz zasług jakie król ten położył w sprawie podniesienia dobrobytu wszystkich spraw społeczeństwa.

Książka ta ma obejmować około czterech arkuszy druku, a jako przeznaczona dla ludności wiejskiej i małomieszczańskiej, winna być napisaną zgodnie z całą prawdą historyczną, stylem i językiem przystępnym, poprawnym i obrazowym. Termin odsyłania prac naznaczony jest na 1 stycznia

1882 roku pod adresem prezesa Koła Literackiego we Lwowie. Każdy rękopism powinien być opatrzone dewizą; nazwisko zaś i adres autora dołączone w oddzielnej zapieczętowanej kopercie, z tą samą dewizą. Za pracę uznaną przez komitet konkursowy za najlepszą, otrzyma autor jako honorarium 100 złr. oraz 100 egzemplarzy książeczki wydanej kosztem Koła Literackiego. Prawo wydawania dalszych edycji przysługuje autorowi.

Czysty zysk z rozprzedaży książek Koło Literackie przeznacza na ustanowienie nowego konkursu dla dalszych wydawnictw, mających na celu szerzenie zdrowej oświaty między ludem. Prezes Koła Literackiego doktor Liske, uprasza wszystkie Redakcje o powtórzenie tej odezwy w swoich pismach.

+ Wiadomo, że po dziś dzień, pomimo coraz większego rozpowszechniania się wiadomości astronomicznych, jest jeszcze wiele osób wierzących w stary przesąd, że każde pojawienie się jakiejś komety zapowiada jakieś niezwykle, nieprzewidziane wydarzenia, najczęściej nieszczęśliwe. Otóż tacy dowiedzą się z największym przerażeniem, że jeszcze w XIV wieku pewien prorok włoski, niejaki Leonart A-etini, przepowiedział, iż właśnie w r. b. przypada koniec świata... Wyraźnie kometa zapowiada jego przyjście.

Ten przepowiedziany koniec świata ma się rozpocząć dnia 15 listopada 1881 roku i trwać przez dni piętnaście. Oto jak się to odbywać będzie:

Dnia 1-go morze wystąpi z brzegów; 2-go (czyli 16 i t. d.) Woda wsiąknie w grunt; 3-go wszystkie ryby w wodach zasną; 4-go powyżychają wszystkie zwierzęta morskie; 5-go padną wszystkie ptaki; 6-go wszystkie domy się zawalą; 7-go wszystkie skały runą; 8-go ogólne trzęsienie ziemi; 9-go wszystkie góry się zawalą w doliny; 10-go wszyscy ludzie zaniemówią; 11-go groby staną otworem; 12-go deszcz gwiazd; 13-go śmierć wszystkich wogóle ludzi; 14-go zniszczenie nieba i ziemi przez ogień; 15-go zmartwychwstanie ogólne i sąd ostateczny!... Ten koniec świata będzie się tedy odbywał bardzo symetrycznie i powoli, wyraźnie według włoskiego przysłowia „Chi va piano va sano”. Szkoda tylko, że ów prorok nie czytał widać co o końcu świata mówi Pismo Św. a z czem najzupełniej nie zgadza się jego przepowiednia.

+ Strach dla 40-tu nieśmiertelnych z Akademii Francuskiej; panna Hubertyna Auclert postanowiła ją zakasować, a już co najmniej zbudzić groźne współzawodnictwo, przez założenie *Francuskiej Akademii Kobiet*, i jest przekonana, że jej to przyjdzie z największą łatwością. Najpierw ma być zwołane zgromadzenie które wybierze pięć albo sześć najgłówniejszych kobiet — te stanowiąc będą związek Akademii i wybiorą innych członków, których liczba na początek ogranicza się do 20. Każdy członek, a więc naturalnie i założycielka, będzie pobierał 1500 fr. Tak więc na same pensje potrzeba 30,000 fr. Otóż kapitał zapewniający taki procent, ma być zebrany za pomocą koncertów i teatrów amatorskich.

Francuzi mają tak wiele pieniędzy, że może ich nie pożałują na fantazję panny Hubertyny Auclert.

+ Dnia 22 z. m. odbyto w Paryżu doświadczenie z nowym przyrządem do gaszenia ognia w obecności przeszło 20,000 zebranych widzów. Doświadczenia udały się wybornie. Wielkie wrażenie zrobiło na publiczności zagaszenie palącego się stogu siana, mającego 150 stóp metrów kubicznych objętości. Płomień sięgał do wysokości trzeciego piętra, kłęby dymu zasłaniały niebo. Wy-

nalazca wszedł z przyrządem swoim do środka płonącego stosu, i po upływie minuty, ugasił olbrzymi pożar.

+ W końcu znowu maja, inny wynalazek tysiące ciekawych ścignął na wybrzeża Sekwany i Pont Royal, z kąd przypatrywali się manewrom małej łodzi, pierwszej, która na wodach Sekwany pływała poruszana siłą motora elektrycznego. Przyrząd ten, bardzo stosunkowo mały, posiada wielką siłę. Statek z wielką łatwością płynął pod wodą, odbywając w parę minut drogę od mostu królewskiego do mostu Zgody. Maszyna poruszająca umieszczona jest przy sterze i porusza szrubę o trzech skrzydłach; bateria elektryczna znajduje się w samym środku łodzi. Podczas prób, w łodzi tej siedziało cztery osoby, a w ich liczbie wynalazca i konstruktor nowej maszyny. Wynalazek ten zdaje się ma wielką przyszłość przed sobą.

+ Z licznych bóstw chińskich, jednym z najpopularniejszych jest tak zwany *bóg śniegowy*. Ostatniej zimy w północnych Chinach spadło bardzo mało śniegu, a posucha mocno niepokoiła rolników. Ludność cisnęła się tłumnie do świątyni boga śniegu, ale głuchym był na ich prośby. Nareszcie sam młody cesarz, Konani-Son, postanowił przedstawić osobiście prośby swego ludu u stóp zagniewanego bożka. Udał się więc do świątyni bożka odziany w szaty śnieżnej białości, w towarzystwie najpierwszych dostojników, i u wejścia powitany został przez kilkuset kapłanów, również biało ubranych. Posąg bóstwa także w dniu tym przybrany został w nowe szaty; nadto postawiono przed nim złote naczynia na których płonęły kadzidła. Cesarz padł na kolana przed bóstwem śniegu i głośno odmawiał modlitwę, którą obecni powtórzyli 32 razy. Następnie cesarz i każdy z towarzyszącego mu orszaku rzucił na węgle kawałek żółtego wosku i garść kadzidła. Na tem skończyła się ceremonia, ale bóg śniegu nie czuły na zaszczyt, że cesarz raczył modlić się do niego, według ostatnich wiadomości pozostał niewzruszonym.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI I SKŁADU NUT

E. ORZESZKOWEJ I S-KI

W WILNIE,

ulica Ś-to Jańska, dom Webera.

- Lubowski. Sąd honorowy, komedia w 5-ciu aktach. Wilno 1880 r. — k. 90
Przyborowski W. Włóścianie u nas i gdzieindziej. Szkice historyczne. Wilno 1881 r. r. 1 „ 50
Konopnicka M. Z przeszłości. Fragmenty dramatyczne. Wilno 1880 r. — „ 90
Karłowicz Jan. Poradnik dla osób wybierających książki dla dzieci i młodzieży. Wilno 1881 r. . . — „ 40
Marrené W. Przesady w wychowaniu. Studium pedagogiczne. Wilno 1881 r. r. 1 „ 20
Chmielowski P. Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 16-tu. Wilno 1881 r. „ 1 „ 50
Bałucki. Typy i obrazki Krakowskie. Wilno 1881 r. „ 1 „ 35
Spasowicz W. Studya nie z natury. „ 1 „ 50

Pod prassą:

Orzeszkowa E. Sylwek cmentarnik — powieść.

Jeż T. T. O spółnictwie z życia i natury — przyczynek do dziejów socjalizmu i komunizmu.
 Méyet L. Dla nieznanym — nowelle.
 Chmielowski P. Obskurantyzm i liberalizm na Litwie i Rusi — szkice z dziejów walki o światło.

Wszystkie wyżej wymienione dzieła stanowią Serję I-szą wydawnictwa, której cena prenumeracyjna wynosi:

w Wilnie Rs. 10.
 z przesyłką „ 12.

Dla osób, mających stałe stosunki z księgarnią E. Orzeszkowej i S-ki, a także dla prenumeratorów „Wiek” i „Ateneum”, którzy nadesłali przedpłatę wprost lub za pośrednictwem jednej z wymienionych Redakcyi, cena zostaje zniżona:

w Wilnie na Rs. 8.
 z przesyłką „ 10.

Niezależnie od Serji I-jej wydawnictwa, nakładem tejże księgarni wyszły następujące dzieła:

Chmielowski P. Poezya w wychowaniu. Wilno 1881 r. — k. 30

Jankowski E. Wady naszych sadów. Wilno 1881 r. — „ 30

Konopnicka M. Z przeszłości. Fragmenty dramatyczne. (Wyd. na papierze welinowym) w ozdobnej oprawie. r. 1 „ 35

Kościalkowska W. Z. Władysław Syrokomla. Studium literackie. Wilno 1881 r. — „ 30

Orzeszkowa E. Patryotyzm i kosmopolityzm. Stud. społeczne. Wilno 1879 r. r. 1 „ 20
 w ozdobnej oprawie. „ 1 „ 80

— Pokociło się i dam nogę. Scena z życia 2-ch braci. Wilno 1881 r. — „ 30

Pod prasą:

Orzeszkowa E. Widma — powieść.

Skórkowski A. Choroby duszy i odpowiedzialność moralna.

Wkrótce wyjdzie z druku Kalendarz Wileński na rok 1882, ozdobiony 12-ma widokami Wilna.

Księgarnia i skład nut E. Orzeszkowej i S-ki w Wilnie, poleca następujące dzieła:

Galicz J. Ks. Muzyka organowa. Wilno 1879 r. r. 1 —

Kitkiewicz X. A. Konferencye, zawierające w sobie wyjaśnienie głównych artykułów religii chrześcijańsko-katolickiej ze stanowiska liturgiczno - społecznego. Kraków 1877 r. „ 1 —

Korwin. Listki opadłe. Ser. I. Warszawa — k. 50

— Listki opadłe. Ser. II. Wilno. — „ 60

Kryłow. Bajki, tłum. Glińskiego. Wilno 1862 r. — „ 20

Leyen P. Polowanie na jarząbki z wabikiem. Warszawa 1874 r. — „ 45

Majewski E. Potop biblijny i peryodyczne potopy ziemi. Warszawa 1881 r. — „ 60

Noël i Schapsal. Nowa gramatyka francuzka — przejrzana, powiększona wielu ważnymi spostrzeżeniami, z przydaniem osobnego tomu ćwiczeń stopniowych i zastosowanych do prawideł przez P. Parvez. Warszawa 1872 r. 2 tomy. „ 1 „ 20

Zaruski J. Dawne wychowanie szkolne. Warszawa 1878 r. — „ 75
 Widoki Wilna i okolic.

Cena: Format wizytowy. — k. 20.
 „ gabinetowy — „ 50.
 „ „ większy r. 1 —

Księgarnia przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma peryodyczne, w kraju i za granicą wychodzące. Dostarcza książki wszelkiej treści i we wszystkich językach, bez względu gdzie i u kogo wydane, po cenach oznaczonych przez wydawców. Posiada znaczny wybór globusów, atlasów i map geograficznych, tudzież zabawek, gier pedagogicznych i lamigłówek geograficznych. Nuty na wszystkie instrumenta w zwykłych i tanich wydaniach, jako to: Gebethnera i Wolffa, Hösicka, Sennewalda, B. Koreywy, Schott'a, Petersa, Jürgensona, Litofa i innych. Nowości, tak nut, jak książek, stale otrzymuje zaraz po ukazaniu się takowych w handlu księgarskim. Katalogi na żądanie wysyła bezpłatnie. Posiada równie abonament nut i książek.

Zapisujący z prowincyi książek na 5 rs., kosztów przesyłki nie ponoszą.

Wydawnictwa księgarni E. Orzeszkowej i S-ki w Wilnie dostać można we wszystkich znaczniejszych księgarniach w kraju i za granicą:

Składy główne:

w Warszawie. w Księgarni Gebethnera i Wolffa.
 w Krakowie „ Gebethnera i S-ki.
 we Lwowie „ Bartoszewicza i Bier-nackiego.
 „ „ Łukaszewicza.
 w Petersburgu „ J. Ungra.
 w Kijowie „ L. Idzikowskiego.
 „ „ B. Koreywy.
 w Piotrkowie „ Pacewicza i S-ki.

ZAKŁAD

NAUKOWO-REKODZIELNICZY

przy spółce połączonej pracy kobiet,

pod kierownictwem

NATALII SMÓLSKIEJ,

przy ulicy Hrabiego Berga Nr. 9.

Przyjmuje uczennice na naukę pojedynczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specjalności należących dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla *Modystek* wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w rękę i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla *gospodyń wiejskich*: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla *poświęcających się kupiectwu*: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla

dogodności, na naukę bądź pojedynczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do *Administratorki S-ki Połączonej Pracy Kobiet* Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześniej zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczennic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonymi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

CZAS TRWANIA I SPOSÓB OPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w rękę, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2 (miesiące 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesiące 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesiące 6), a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczennicy.

Lekcyje odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedynczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesiące	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane do rzemiosł	„	6
Jedwabnictwo	„	6
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
 Przygotowanie do Korespondencyi „ 4 „

Lekcyje co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczennice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Dzieło Lud. Szczerbowicza-Wieczora, O SKAŻENIU JĘZYKA POLSKIEGO, wyszło już z druku i jest do nabycia u autora w Płocku, po cenie rs. 1 kop. 20 za egzemplarz z przesyłką. Można też nadsyłać wymienioną kwotę do Redakcyi Tygodnika Mód.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

RENATA,

przez

STEFANA MARCEL.

(Dalszy ci6g.)

Renata załamała ręce i krzyknęła przejęta nieopisaną trwogą, następnie spojrzała w koło przerażonym wzrokiem... Pusto było wszędzie... nikt nie pośpieszy na ratunek... Linetta utonie. Renata zaczęła krzyczeć, sądząc, że ktoś usłyszy i nadbiegnie, ale szum drzew zagłuszał jej głos tłumiony przestraczem. Zrozumiała to i nie wahając się dłużej, przeżegnała się, spojrzała w niebo i weszła, w rękę, blada trochę, ale przejęta silnem postanowieniem... Szczęściem, nauczyła się już trochę pływać, kąpiąc się na brzegu morza; wprawdzie ciężiej to przychodziło w ubraniu, ale szczęściem rzeka była wązka i nie bardzo bystra. Zresztą płynąc wołała ciągle o ratunek, a chęć uratowania Meliny podwajała jej siły i odwagę. Wkrótce dopłynęła do zemdlonej Meliny, której główka to niknęła pod wodę, to ukazywała się na jej powierzchni, i prawie jednocześnie uczuła pod stopami dno rzeki; stanęła wtenczas i objawszy rękę dziewczynkę wsparła jej główkę na swem ramieniu, i tak doszła szczęśliwie do brzegu, gdzie dopiero spostrzegła Franciszkę, która dostyszawszy jej krzyki, biegła ku rzece z wyrazem głębokiego przerażenia.

Trudno byłoby opisać przestraczu notaryusza, wzruszenia pani Mercier, uczucia dumy i radości ciotki Sylwii, która przybyła tam wkrótce; ale wszystko to było niczem w porównaniu z radością i wdzięcznością Linetty, skoro odzyskała przytomność.

— To ty Renato wydobyłaś mnie z rzeki... uchroniłaś mnie od śmierci, mówiła drżącym jeszcze i przerywanym głosem. O! tam było tak strasznie!.. tak zimno!.. Woda tak szumiała napełniając mi uszy... i nie widziałam nic prawie... tylko kwiatki pływające koło mnie i kawałek nieba... potem ciebie także gdy płynełaś do mnie, Jużbym nie żyła gdyby nie było tam ciebie... Al jakże byłoby okropnie nigdy już nie widzieć mamy, ciebie Alfreda wiosny i ogródka!.. Ale ty byłaś tak dobrą dla mnie Renato, i teraz tak jestem szczęśliwą!

Od tej to chwili rozwinęło się między dziewczynkami, z których jedna była tak tkliwą i szlachetną, a druga tak szczerą i tkliwą, przywiązanie stałe i głębokie, które pomimo różnicy położenia i pochodzenia miało być tak słodkie i zbawienne dla obydwóch. Od tego dnia rozpoczęła się między nimi zamiana drobnych podarków, słów życzliwych, serdecznych uśmiechów i pieszczot stokroć drogo-cenniejszych od podarków. Prócz tego, ciotka Sylwia wiedziała że samotność nie jest korzystną dla dzieci, tak więc okoliczności ułożyły się w ten sposób, że panie z Goëlle coraz łaskawiej przyjmowały u siebie małą Melinę, którą nawet w końcu pokochały bardzo. Wprawdzie ciotka Sylwia mówiła niekiedy:

— Doprawdy, Opatrzność rzuciła chyba przypadkiem takiego aniołka między stopy papierów tego krętaacza!

Tak upłynęło kilka lat, a następnie śliczna i miłutka Melina zaczęła częściej jeszcze bywać w Goëlle,

gdzie przyjmowano ją serdecznie i ze szczerem współczuciem. Była bardzo smutna, straciła właśnie matkę, która zmarła w młodym jeszcze wieku na wycieńczenie sił.

Alfreda, ojciec umieścił na pensyi w Paryżu, a więc biedna Melina byłaby zmuszona przepędzić samotnie większą część czasu, gdyby w Goëlle nie przyjmowano jej tak chętnie i tak często, jak gdyby należała do rodziny. Dwie te szlachetne kobiety nader żywe współczucie żywiły dla nieszczęśliwych sierot; co do Renaty, to nie mogła kochać ani mniej ani więcej, skoro raz całe oddała serce. Słodka te i serdeczne węzły ścieśniały się z dniem każdym; obie dziewczęta zawdzięczały im wiele dni radośnych i miłych, i wszystko zdawało się zapowiadać, że przyjaźń zawiązana w dzieciennych latach, nie osłabnie i w młodocianym wieku, jaki właśnie rozpoczynał się dla nich.

CZĘŚĆ DRUGA.

VI.

Paryżanka i Paryżanin.

Było około południa; jasne majowe słońce rozweselało ów mały kącik Bretanii, w którym zostawiliśmy dziećmi bohaterów naszej opowieści. Od owego czasu dziewięć wiosen przeszło po nad temi ciemnymi i złotowłosemi główkami; dziewięć zim przyprószyło śniegiem smutne i poważne czoła ciotki i babki. Nie umiemy teraz odpowiedzieć co zię z niemi działo od owego czasu, gdyż obecnie nie ku nim pociąga nas obowiązek historyka: trzeba nam poznać się z nowymi osobistościami, mającymi odegrać ważną rolę w tym cichym dramacie rodzinnym.

Jasne słońce wspaniale świeciło, ale upał był ogromny, szczególniejsze dający się uczuć na szerokich drogach, pokrytych białym i miłym piaskiem, po nad którymi rosły gdzie niegdzie krzaki na pół rozwitego janowcu, ostrokrzewu i ruszczyku, po za którymi ciągnęły się aż do brzegów lasu gęste zarośla. Spojrzmy najpierw na tę młodą jeszcze panią średniego wzrostu, mającą ruchy żywe i zręczne; ubrana jest w jeden z tych eleganckich kostiumów spacerowych, którym Paryżanki umieją nadać tyle zarazem załotności i powabu, i zastosować harmonijnie do złotego piasku wybrzeży, zieleni drzew i kłosów polnych. Prowadził ją pod rękę młodzieniec wysokiego wzrostu, bardzo przystojny, z nieco pogardliwym na ustach uśmiechem, z płomiennem i smętnem zarazem spojrzeniem, który słuchał z uszanowaniem i wzorową cierpliwością jej wykrzykników i utyskiwań.

— Jakoś nie mamy dziś szczęścia, Gastonie, zawołała, opierając rękę pokrytą świeżutką rękawiczką na ramieniu uprzejmego młodzieńca, i zwracając się z nim ku wybrzeżom pokrytym jakby wstęgą pasów złotego piasku, który błękitne i spokojnie kołyszące się morze, pięściło od czasu do czasu swojemi falami. — Pocóż nam było zabierać z sobą na dzisiejszą przechadzkę, pierwszą od naszego przybycia do la Tremblade, naszego angielskiego stangreta Williama, który doskonale powozi w lasku lub na Polach Elizejskich, ymienie nie zawadziwszy choćby w największym tłoku, ale nie umie sobie radzić wśród tych zdradliwych skał Bretońskich?

Po co ten nieszczęsny William, zamiast jechać drogą nad wybrzeżem, skierował się w górę ku stromym urwiskom, abyśmy, jak mówił, mogli podziwiać ocean z lepszego punktu widzenia? Nareszcie potrzeba było temu niezdarze zawadzić kołem powozu o złom skały, która wysunęła się tam jakby naumyślnie, aby nam zagrozić drogę i abyśmy teraz zmuszeni byli błąkać się piechotą po takim upale, wśród oślepiającego nas kurzu, poszukując jakiejś fermy lub choćby chałupy, w którejby nam udzielono pomocy!..

— Cóż robić, kochana mamo, odrzekł piękny Gaston ze słodziutkim uśmiechem, nasz stangret uciał baka, powóz się zepsuł a my błądzimy po stepie—widać tak już było nam przeznaczone... Fatalizm, jak to mówią... Ale nie rozpaczaj, śliczna mateczko; bądź co bądź, niższa Bretania nie jest przecie afrykańską puszcza, nieco prędzej czy później znajdziemy przecie jakiego tuziemca, który obmyśli pomoc jakąś dla Williama i ułatwi nam powrót do domn.

— Tak, ale tymczasem słońce nas piecze, błyszczący piasek oślniewa... Jestem oślapiona, zmęczona i okrutnie niezadowolniona. Lada chwila nie będę w stanie i kroku dalej postąpić w tej strasznej puszczy, w której taki piekielny dokuca upał.

— Cierpliwości, mateczko. Patrz tylko, krzaki są coraz większe, drzewa coraz bliższe, las już wyraźnie się ukazuje. W nim znajdziemy chłód i cień, i będziesz mogła odpocząć sobie, a ja udam się za wyszukaniem jakiegoś domku, lub przynajmniej przewodnika.

Kobieta odpowiedziała tylko ciężkiem westchnieniem, mierząc prawie przerażonym wzrokiem odległość dzielącą ich jeszcze od lasu. Potem uniosła starannie białą alpagową suknię ubraną czarną koronką, i osłaniając starannie twarz kosztownym parasolikiem, poszła dalej, opierając się na rękę syna.

W kwadrans później byli już na brzegu lasu, gdzie znaleźli dróżkę wysłaną mehem i ocienioną, ale krętą zwięzającą się za każdym prawie krokiem, i niknącą im często z oczu między pniami wielkich sosen i modrzewi, stanowiących przdmurze przeciwko wichrom pędzącym od morza. W końcu jednak doszli do drogi szerszej i prostej, a wtenczas Gaston odezwał się do matki, wskazując jej pień obalonej sosny:

— Powietrze tu bardzo miłe i świeże, może mama odpocznie trochę, ja zaś pójdę tą drogą i zapewne spotkam wkrótce jakąś chatkę, lub kogoś takiego, który nas doprowadzi do jakiej wioski.

Oddalił się, pożegnawszy uśmiechem matkę, wykwintna paryżanka skinęła głową z wyrazem niezachęcenia, usiadła na omszałym pniu, zamknęła parasolik, otworzyła książkę, którą przyniosła z sobą, ale po przeczytaniu kilku kartek rzuciła ją na trawę i zaczęła poziewać jakby znużona powiewem wiatru, szumem morza i otaczającą ją dokoła zielonością.

Droga, którą udał się Gaston, zapuszczała się w głąb lasu. Wśród sosen i modrzewi zaczęły się zwolna ukazywać: jesiony, wiązy, stare pokręcone dęby i olbrzymie akacje. U stóp ich rosły w małowicznym nieładzie młode graby, tarnina, głogi, szczodrzenica, janowiec pokryty żółtymi kwiatami,

piękne bluszcze i powoje tworzące festony przetykane różnobarwnymi dzwoneczkami.

Oko młodego paryżanina zatrzymywało się z pewnym zadziwieniem i przyjemnością na tych wszystkich szczegółach, niekiedy nawet zdawał się zapominać o celu swej przechadzki. Wrażliwszy od matki, umiał też lepiej ocenić piękność lasu i był skłonniejszym do marzeń jakie w nas zwykle budzi swą samotnością i ciszą.

Nigdzie jednak nie dostrzegł nawet śladu jakiegoś mieszkania i nie spotkał nikogo. Pod tą tajemniczą kopułą z zieleni, nie słyszał nic prócz odgłosu swych własnych kroków, szmeru liści poruszanych wiatrem, chrzęstu suchych gałązek łamiących się pod nogami jakiegoś uciekającego zwierzęcia, gruchania dzikich gołębi, skrzeczenia srok, i niemitego krakania kruków unoszących się po nad lasem.

Gaston szedł dalej przysłuchując się tym wszystkim szmerom i głosom, które niekiedy, ucichały nagle, jakby chciały mu dać poznać jak majestatyczną i uroczą jest cisza lasów. Raz nakoniec w ciągu takiego milczenia, twarz jego rozjaśniła się nagle; usłyszał o kilkanaście kroków dalej, śmiech tak wesoły i dźwięczny jakby wychodził z ust młodej dziewczyny.

Gaston był też pewnym, że tam znajdzie jakieś młode dziewczęta; pobiegł prędko w tę stronę, z której dochodziły ich głosy, i zobaczył je rzeczywiście na malutkiej łączce wśród lasu.

Spojrząwszy na nie, stanął zdumiony ich pięknosciami: jedna z nich była wysoka, miała płéć matowiałą i czarne włosy, druga niższego wzrostu, miała jasne włosy i była tak świeża jak pączek rozkwitającej róży. Ubrane były skromnie ale gustownie: pierwsza z nich, wysmukła, zręczna i pełna dystynkcyi, miała suknię jasno szafirową i czarny toczek na głowie, druga lekką różową sukienkę i pasterski kapelusz przewiązany różową wstążką.

Cóż wywołało ten śmiech wesoły, który zdradził ich obecność w tem miejscu? Gaston domyślił się tego odrazu. Biegały po lesie, goniąc się, wyprzedzając, zrywając kwiatki i zbierając poziomki. Wyższa z nich niosła duży bukiet z głogu, drobna blondynka trzymała w zgrabnych paluszkach motylka, którego udało jej się schwytać gdy spoczywał na kwiatku.

Umilkły nagle zarumienione, skoro spostrzegły nieznanego.

— Panie zechcą mi wybaczyć, że je przestraszyłem, ukazując się tak nagle, odezwał się Gaston z pełnym uszanowania ukłonem. Ale błąkam się już przeszło dwie godziny i nie mogę spotkać nikogo coby mi wskazał drogę do la Tremblade.

Piękne czarnowłose dziewczę ochłonęło już z zadziwienia i odpowiedziało spokojnie, z uprzejmym uśmiechem:

— Zechce pan zwrócić się na ścieżkę idącą tuż za temi dębami, doprowadzi pana do gościńca, którym idąc ciągle czas jakiś, spostrzeże pan po prawej stronie drogi pałac la Tremblade.

— Dziękuję pani najuprzejmiej..., ale czy nie będzie to nadużyciem jej grzeczności, jeżeli osmielę się prosić jeszcze o wskazanie mi w pobliżu jakiegoś mieszkania, w którym matka moja znużona upałem, mogłaby znaleźć jakiś powozik i konie? Wyjechaliśmy na spacer i powóz nam się zepsuł między skałami... Matka moja, pani de Sarrans, najęła na całe lato pałac la Tremblade. Teraz zostawiłem ją na brzegu lasu, aby odpoczęła trochę.

Blondynka, tak jeszcze drobna i wiotka, że nie zdawała się mieć więcej nad piętnaście lat, zwróciła na towarzyszkę spojrzenie wyrażające niemałą proś-

bę, na co odpowiedziano jej przyzwalającym spojrzeniem. Następnie zamieniły z sobą kilka słów, z których Gaston dosłyszał tylko:

— Tak, ale ciotki Sylwii nie ma w domu.

— Jeżeli pani de Sarrans zechce spocząć w domu mej babki, margrabiny de Plouernel, sprawi nam tem prawdziwą przyjemność, odezwała się znów brunetka. Ogrodnik nasz poszuka tymczasem kogoś takiego, któryby potrafił naprawić jakotako powóz.

— Wszak wiesz, Renato, że Alfred ma przyjść po mnie, rzekła blondynka, uprzedzimy go więc przez posłańca aby przyjechał powozem, który następnie odwiezie panią de Sarrans do la Tremblade.

Łatwo się domyślić że Gaston nie szczędził podziękowań. Następnie wspomniął coś o stosunkach sąsiedzkich, które dozwolą tak jemu jak matce okazać wdzięczność za doznaną przysługę. Lecz zadziwił się, widząc że te słowa wywołały cień smutku na śliczną twarzyczkę brunetki i że uśmiechnęła się z pewnym wyrazem gorczy. Jednak to zadziwienie i towarzyszące mu jakieś przykre uczucie rozpięchło się wkrótce, i oddalił się po matkę, na którą piękne nieznanome obiecały zaczekać na łączce.

— Więc jej imie Renata, mówił do siebie. Śliczne imie! Renata de Plouernel zapewnie? Cóż możnaby znaleźć milej brzmiącego, arystokratyczniejszego, a nadewszystko odpowiedniejszego do jej szlachetnej piękności i ruchów odznaczających się takim wdziękiem i tak pełnych dystynkcyi? Będzie to dla matki mojej prawdziwa niespodzianka. Jaktó miło znaleźć śliczne dziewczęta i gościnne przyjęcie w pałacu, tam gdzie spodziewano się co najwięcej wieśniaka jadącego w karyolce.

Łatwo się domyśleć że pani de Sarrans ucieszyła się także bardzo tak niespodziewanem odkryciem. Zaciekawiona opowiadaniem syna, podniosła się żywo, zapominając o znużeniu. Wyobrażała sobie zapewnie że wśród tych jałowych stepów i lasów znajdzie coś przypominającego jej swą świetnością ukochany Paryż, i układała już w myśli rozmaite plany, cieszyła się nadzieją czekających ją zabaw.

— Doprawdy, zawołała, to spotkanie przyszło nam pod każdym względem w samą porę!... Poznaliśmy się, zaprzyjaźnimy, będziemy urządzać tańcujące poranki i podwieczorki w cieniu drzew, na murawie. Nie znając tu nikogo, byłam pewna, że mnie tu czekają straszne nudy!... Chodźmy prędkiej, Gastonie, pragnę poznać jak najprędzej te piękne panienki i zobaczyć jak też na tej pustyni są umeblowane salony i pałace,

Pani de Sarrans doszła wkrótce do miejsca, w którym Renata i Melina czekały na nią. Powitały ją obiedwie grzecznym ukłonem ale na twarzy Melliny malowało się lekkie zadziwienie. Wszakże ten pan mówił że przyprowadzi matkę, a matka człowieka dorosłego powinna być kobietą już nie młodą i ubierać się poważnie; któż więc mógł przewidzieć, że zobaczy osobę dość jeszcze młodą, wystrojoną, z czarnymi włosami wijącymi się w długie loki spadające na ramiona, i w kapelusiku, który można było wziąć łatwo za bukiet z białych stokrotek.

— Ha! są to paryżanie, pomyślała po chwili zastanowienia Melina i zapewnie w Paryżu wszystkie mamy ubierają się podobnie.

Renata była nie mniej zadziwioną; babka i ciotka Sylwia wpajały w nią przekonanie że chęć ukrywania swych lat, brak powagi w obojęści i postawie, uwłacza godności matki, nie okazała jednak tego, gdyż dzięki starannemu wychowaniu, posiadała wiele taktu i umiała zapanować nad sobą. Nie-

onieśmielona bynajmniej widokiem kosztownych koronek nieznanomej, ukłoniła jej się bardzo grzecznie, ale swobodnie, i ponowiła prośbę aby zechciała odpocząć w Goëlle.

Pani de Sarrans przyjęła najchętniej zaproszenie, i wsparta na rękę syna, szła za swemi przewodniczkami ścieżką wijącą się przez las i otoczoną krzakami, o które zaczepiały się ciągle koronki zdobiące jej suknię.

— Cieszę się niewymownie że spotkałam panie odezwała się usiłując uwolnić się od gałązki cierńca, która przyczepiła się silnie do jej białej sukni. Gdyby nie to, bylibyśmy w bardzo przykrem położeniu; jest to miejsce tak dzikie i odludne!

— Okolice nasze są rzeczywiście trochę dzikie odpowiedziała z uśmiechem Renata, ale jakże piękne, jak spokojne!

— Zbyt spokojne, o ile mi się zdaje... Czy piękne?... być może, ale w każdym razie jest to jakaś dziwna piękność. Sądzę, że pani sama przyzna, że są inne daleko miłsze i piękniejsze.

— Nie znam innych, odpowiedziała Renata. Są to moje rodzinne strony, kocham je i czuję się w nich szczęśliwą.

— Jaktó! więc pani nie zna Paryża?

— Mieszkałam w Paryżu w dziecińczych moich latach, ale nie widziałam go odkąd zostaje pod opieką mej babki, i muszę przyznać, że prawie nie przypominam go sobie.

— W takim razie, rzekła pani de Sarrans uśmiechając się miłe, zaczynam mieć wysokie wyobrażenie o Bretanii, skoro pod jej starymi dębami rozwijają się tak śliczne i miłutkie kwiatki, jakby rozkwitały w najświetniejszych salonach paryżkiej arystokracji.

— O! wielka przestrzeń dzieli nas od tych salonów, odpowiedziała Renata; jesteście bardzo zafanami mieszkankami bretońskich stepów... Ale dochodzimy już do końca lasu, droga będzie odtąd szersza i mniej przykra dla pani... Tam, dodała wskazując ręką, widać już Goëlle, dom mej babki.

Gaston i pani de Sarrans ujrzeni wtenczas na płaskim i zielonym stepie, przystrojonym kępami drobnych krzaków i smugami żółtego piasku, dom duży, niski i szary, otoczony z jednej strony dziedzińcem a z drugiej ogrodem. Przebiegali wzrokiem całą tę wielką płaszczyznę ale nie dostrzegli nigdzie żadnego mieszkania, żadnego dymu, prócz unoszącego się z ogniska tego samotnego domu.

Stojąc nad brzegiem lasu nie można było dojrzeć morza, ale słychać było szum jego, dowodzący że znajduje się niedaleko, przy końcu stepu, po drugiej stronie starego domu, którego mieszkańcy mogli tym sposobem przenosić wzrok znużony widokiem wielkiej nieruchomej płaszczyzny posianej krzakami koleczastego janowcu, na tę drugą, jeszcze większą ruchomą płaszczyznę, pofalowaną modremi falami, urozmaiconą sнопami piany.

— Jakież to zachwycające położenie! jaki malowniczy i okazały widok! zawołał Gaston. Jakże harmonijną i rozmarzającą muzykę tworzy ten przysłyszony huk morza w połączeniu z melodyjnym szumem lasu... Czy można znaleźć coś piękniejszego i wspanialszego zarazem?...

— Tak, wszystko to bardzo okazałe... przepyszne... jednak nie pojmuję jak panie mogą mieć dość odwagi aby tu mieszkać w zimie, zawołała Paryżanka i zadrżała lekko, myśląc jak strasznie samotnym musi być ten stary dom w ciągu mroźnej pory roku, kiedy właśnie w Paryżu rozpoczynają się najświetniejsze zabawy.

— Tej odwagi nie zabrakło nam nigdy, odpowiedziała Renata spokojnie ale z trochę dumnym

uśmiechem. Zresztą ważne powody, przyzwyczajenie... Dość że pobyt w tym samotnym domu nie wydawał nam się nigdy przykrym, a mam nadzieję, że dla pani będzie przyjemnym choć na chwilę, choćby dla tego że pani wejdzie do niego znurzona przechadzka, i że słońce majowe ozłaca tak pięknie fale morza i rozsiało tyle kwiatów na stepie.

Nastała chwila milczenia, w ciągu którego pani de Sarrans patrzyła na Renatę z coraz widoczniejszym zadziwieniem a Gaston z coraz żywszym zachwyceniem.

— Może będzie lepiej, Renato, odezwała się Melina, jeśli pobiegnę naprzód, uprzedzę twą babkę i dam znać Alfredowi aby przysłał powóz.

— Masz słusność, odpowiedziała Renata z uśmiechem, żyjemy tak samotnie, tak rzadko nas ktoś odwiedzi, że może lepiej aby się dowiedziano naprzód o przybyciu gości.

— Gdyby obecność nasza miała być powodem choćby najłżejszej przykrości... odezwał się Gaston.

— O! bynajmniej, przerwała mu Renata; sprawi nam przeciwnie prawdziwą przyjemność, tylko będzie pani zmuszona poprzestać na szczerzej bretońskiej gościnności i wybaczyć że nie przygotowani, nie przyjmujemy ją jakbyśmy chcieli. Przed chwilą wspomniała pani bardzo pochlebnie o rozkwitających tu *kwiatkach* ale są to tylko dzikie kwiaty, do dała z miłym uśmiechem.

Melina oddaliła się tymczasem i biegła tak lekko po stepie że nie zgniotła żadnej trawki, żadnego kwiatka na drodze. Patrząc na nią zdaleka, na jej różową sukienkę, unoszącą się nad gałązkami janowcu, można ją było wziąć za ruchomy kwiatek, za jakąś skrzydlatą różę. Wkrótce potem znikła za furtką w murze otaczającym dziedziniec, a Renata odpowiadała uprzejmie na pytania przybyłych i wskazywała najpiękniejsze miejsca i widoki.

Doszedłszy do domu, zastali furtkę otwartą, i Melina wybiegła naprzeciw nim przez ogród, pomagając Renacie wprowadzić gości do salonu, poczem oddaliła się do kuchni wydać niektóre rozkazy. Niebawem weszła margrabina de Plouernel, i pani de Sarrans nie ochłonęła jeszcze z zadziwienia jakie wzbudziły w niej starożytnie meble, proste i poważne jak dawniejsze obyczaje i wspomnienia, salownik potyskający czystością i porządkiem ale prawie ubozuchny, gdy ogarnęło ją nowe połączone z poszanowaniem, na widok tej dostojnej, bladej, siwowłosej niewiasty, z postawą pełną godności i zakonnej prawie powagi, ubranej zupełnie czarno, która przystąpiła do niej z dobrotliwym uśmiechem, uprzejmie podając rękę.

Pani de Sarrans zanadto znała świat, a może zbyt była delikatną, aby miała okazać swoje rozczarowanie i zdziwienie. Po kilku chwilach rozmowy ożywiła się, była wesołą, serdeczną, uśmiechniętą, wyzajemniając się za szczerę i gościnne przyjęcie, jakiego doznała od margrabiny, za miłe spojrzenie i słodki uśmiech Renaty, która tak w jej jak i Gastona oczach, świetniejszym i ponętniejszym blaskiem niż promienie majowego słońca, rozjaśniała ten ubogi salonik.

Melina powróciła, podano skromny orzeźwiający posiłek i ogólna zawiązała się rozmowa. Pani de Sarrans opowiadała dziewczętom o swoich zamiarach ożywienia i uprzyjemnienia sobie pobytu w willi la Tremblade, opisywała najświetniejsze zabawy w Paryżu i najświeższe mody. Przez uprzejmość dla gości margrabina zdawała się zajmować temi drobnostkami, a Melina, przyszła bogata dziewczeczka, obecnie młodzianka dziewczę, słuchała opowiadania z wielkim zaciekawieniem. Sama nawet Renata, zwykle tak poważna, znajdowała pewną

przyjemność w tych opisach uciech, zabaw i przepychu całkiem nieznanego jej świata. Niepodobna aby podobne opisy wspaniałych złoczonych salonów, przybranych najrzadszemi kwiatami i zastawionych przepyszny mi meblami, tych bogatych i powiewnych strojów, wybornej orkiestry, teatrów i balów, nie zaciekały i nie zbudziły jakiejś chęci ich poznania w młodocianych główkach, za ledwie zaczynających wiośnianie czuć rojenia, nie znających jeszcze zawodów i goryczy jakie nam życie gotuje.

Jednakże Renata parę razy pomyślała sobie: „Coby też powiedziała ciocia Sylwia, gdyby wszedłszy nagle, posłyszała nas tak rozmawiających o uciechach, strojach i balach? Najniezawodniej potężnie wrzuciłaby ramionami, a może i nie zdołałaby się powstrzymać aby krótko i wżłowato nie wypowiedzieć tej pięknej pani, co myśli o wszystkich podobnych małosłownościach... Ale nie byłoby to znów gościnnie, a ciocia Sylwia jest bardzo uprzejma i uczynna... Al! jak to dobrze iż dziś Marta dłużej zatrzymała ją na wsi.

Na szczęście, ciocia Sylwia dopiero po oddaleniu się gości powróciła do Goëlle; najpierw przybył po siostrę Alfred Mercier. Pani de Sarrans, która już okazywała wiele uprzejmości ładnej Melinie—nie domyślając się że ojciec jej był dawniej prostym wiejskim notaryuszem, a wiedząc tylko że obecnie jest bogatym właścicielem dóbr i członkiem Rady Jeneralnej była prawie względniejszą jeszcze dla ładnego młodzieńca, którego rysy twarzy zapowiadały żywą wyobraźnię, połączoną z siłą charakteru. Adolf Mercier bawił dwa lata w Paryżu dla ukończenia nauk, tam nabrał obycia światowego, daru wysłowienia i zręcznego prowadzenia rozmowy, przytem dobrego wzrostu, zgrabny, jasnowłosy, co wszystko razem tworzyło nader miłą i pociągającą osobistość. To też z jego pojawieniem się, pani de Sarrans i syn jej więcej jeszcze poczuli się w swoim żywiole.

Alfred ze swej strony był nader uprzedzającą grzeczny dla tych zbiegów paryzkich, mających ożywić piękną willę la Tremblade i zapełnić ją wrzawą, rozrywkami i zabawami. Ofiarował im do rozporządzenia ładny tilbury, którym przyjechał po siostrę, i obiecał iż uda się z ludźmi na wybrzeże aby zabrać powóz i odprowadzić do wiejskiego majstra. Nareszcie po wielu podziękowaniach, ukłonach i wzajemnych zaproszeniach, nowi goście pożegnali się, i usiadłszy do tilbury odjechali do la Tremblade.

Eleganckiej pani de Sarrans nie zajmowały bardzo widok okolicy i piękność krajobrazów; za ledwie usadowiwszy się wygodnie w powozie, zwróciła się z uśmiechem do powożącego Gastona, który rozmazonym wzrokiem śledził zakręty drogi, mówiąc:

— Co za zabawna przygoda! i jak ciekawą zrobiliśmy znajomość! Jakże ci się podobają wszystkie te osoby? Mnie najwięcej przypadła do gustu babka, stara margrabina. Jakie szlachetne rysy, jakie piękne siwe włosy... co za pańska postawa!... Al! jakżebym pragnęła mieć ją w swoim salonie, zdawałoby się, że to stary portret rodzinny wystąpił z ram... a właśnie portretów takich brakuje w la Tremblade.

— O! tak mamo, rzeczywiście nie zdarzyło mi się widzieć piękniejszej, dostojniejszej postaci jak ta sędziwa margrabina w żatobie... Ale co powiesz, mateczko, o jej wnuczce, pannie Renacie?

— Może nie powiem tyle co ty myślisz o niej, piękny rycerzu, odrzekła wesoło, grożąc mu żartobliwie końcem różowego paluszka, ale przyznam, że jest to perła dystynkcyi i piękności, prawdziwa dama, pełna dumy i powabu. Al! jakież wrażenie

ta dziewczyna wywoływałaby w salonach, gdyby jej tak z nieba spadły piękne suknie i choć za jakie dziesięć tysięcy franków pereł i klejnotów... Ale jakim sposobem przysły do takiej biedy? Jak mogą mieszkać w takiej chałupie i żyć w takiej nędzy?... Boć to rzeczywiście nędza mieć firanki z wypełzonego kretonu, stare, zniszczone meble z czasów Ludwika XV, nie posiadać sreber stołowych, serwet z herbami ani lokaja w liberyi.

— Cóż dziwnego, kochana mamo! ileż to dziś szlacheckich rodów ubożeje i upada—taka wola losu!... Gdyby też nie to, wzbogaceni kupcy nie mogliby kupować sobie tytułów, dodał, przypominając sobie, że rodzony dziad jego ex-mydlarz, kupił od zrujnowanego szlacheica posiadłość de Sarrans.

— Biedne dziewczę! jakież to nieszczęście dla niej!... Jest tak piękna że gdyby miała posag, mogłaby pójść za jakiego księcia—a tak, coż zrobi z sobą?... Al! zapewne wstąpi do klasztoru... Tym czasem będę ją zapraszać na wszystkie moje zebrania, poranki i wieczory tańczące—zdaję mi się, że zwróci na siebie powszechną uwagę... Wszak prawda, Gastonie, że będziemy mieć wielu tancerzy? mówiła dalej. Panna Renata powiedziała mi że ma brata Gwidona, chłopca dziewiętnasto-letniego, który przyjeżdża niedługo... Gdy kto nosi nazwisko Gwidon de Plouernel, ma taką siostrę i taką babkę, musi być pięknym a nadto doskonałym szlachcicem... A ten znowu polny kwiatek, ta ładna drobniutka Melina Mercier de la Rouërie, jaka naiwna i miłutka! a w dodatku, jako córka radey jeneralnego, musi mieć ładny posag... Brat jej, Alfred, także miły bardzo chłopiec... Słowem możemy się spodziewać że zbierzemy dobre i wesołe towarzystwo... Będziemy urządzać wesołe wycieczki w okolice, odgrywać przystawia, tańczyć, polować i bawić się wybornie!...

Gdy świetna Paryżanka gawędziła tak w drodze, różne układając projekta, ta, nad której ubóstwem ubolewała, podziwiając zarazem jej arystokratyczną piękność, ładna i mężna Renata przeglądała przy oknie bieliznę do naprawy; w tem wybiegła prędko zobaczywszy nadechodzącą wysoką, chudą, wyprostowaną kobietę z koszykiem i parasolem w ręku, która zwróciła ku szaremu domowi twarz swoją wesołą i energiczną, kryjącą się przed wiatrem wiejącym od morza pod dużym zniszczonym kapeluszem. Coby powiedziała na to nasza wykwiutna Paryżanka, gdyby zobaczyła ową arystokratyczną piękność jak przybiegłszy prędko, odebrała z rąk nadechodzącej wielki koszyk i parasol, i ściskając ją zawołała:

— Al! ciociu Sylwio, wielka szkoda żeś nie wróciła pół godziny wcześniej! cobyś też była powiedziała, widząc, że babcia i ja stałyśmy się nagle tak światowe i rozmawiające o samych błahostkach.

— Doprawdy? odrzekła, to widać stał się cud podczas mojej niebytności... No, coż takiego zaszło? Ale chodź do pokoju, słońce piecze bez litości, ja przeszłam dwie mile po piasku, w podkutych trzewikach... A potem trzebaż przejrzeć bieliznę z prania; odpocznę sobie przy tej robocie, a pod ten czas ty i babunia wypowiadacie mi się ze swoich grzechów.

I uciekając przed piekącym skwarem słonecznym, uśmiechając się do siebie, obie weszły do domu.

VII.

Młodość i radość.

Jakże to uroczy widok przedstawiał ogród w la Tremblade w piękny spokojny i orzeźwiający pora-

nek czerwony! Prześlicznie ubrana pani de Sarrans, wydawała rozkazy stojąc na peronie, a z drugiej strony domu Gaston przyjmował przed kratą przybywających gości. W ogrodzie willi pełno było kwiatów zieleni i woni; żywe i świetne barwy nęciły oko. Promienie słoneczne, tu i owdzie przedzierające się przez liście, migotały różnobarwnym światłem odbijając kolory lamp przygotowanych do iluminacji i rozweselenia tańców i zabaw długo w noc się ciągnących. Zabawa dzienna już się rozpoczęła. Aleje ogrodu, na którego klombach rozwijały się piękne swe kielichy najprzeróżniejsze kwiaty, roiły się ślicznymi żywymi kwiatami, biegającymi tu i owdzie, a słodkie ich głosy, wesołe uśmiechy i śpiewy rozlegały się do koła, unoszone wiatrem.

ładne dziewczęta, córki okolicznych obywateli ziemskich, bawiły się wesoło w ogrodzie la Tremblade, uradowane nadzwyczaj miłym i uprzejmym przyjęciem eleganckiej pani de Sarrans i syna jej Gastona, bardzo powabnego młodzieńca.

Najpierw przybyli w towarzystwie ojca, Melina i Alfred Mercier, a niedługo potem Renata i Gwidon. Tym razem, nie ciotka Sylwia ale szanowna margrabina przybyła sama z wnukami, aby ich przedstawić nowej sąsiadce. To też przyjęto ich z wyróżniającą uprzejmością.

To zaproszenie pani de Sarrans dało powód w Goëlle do długich namysłów i wahań. Odebrawszy je od Renaty, ciotka Sylwia przeczytała z największą uwagą i długo potrzasała głową.

— Nie wiem dla czego, ale jakos obawiam się trochę... to jest, chciałam powiedzieć bardzo... wielkich grzeczności tych nieznanomych paryzkich przybyszów, rzekła, rzucając pogardliwie na stół mały bilecik ze złocem brzegami, wydający woń fijołków.

— Ale czego też ty się nie obawiasz, biedna moja Sylwio, odrzekła łagodnie margrabina. Lęka się i nie dowierzasz wszystkiemu na świecie, wierzysz tylko w istność Boga i szczerść naszego przywiązania. Zresztą wiesz równie dobrze jak ja, iż do tak konwencyonalnych grzeczności żadnej nie można przywiązywać wagi. Czyżbyś sądziła że trochę nowej, nieznannej rozrywki może źle oddziaływać na ukochaną naszą Renatę? Dotąd żyła zawsze tak samotna i zapomniana—i mówiąc to margrabina westchnęła ciężko—obecnie ma już lat dwadzieścia, jest mężna, pobożna i rozważna, nieco rozrywki i zabawy rozweseli ją, może odmłodzi, a w żadnym razie nie odbierze hartu duszy i nie zakłóci spokoju.

— O! pod tym względem, jestem równie spokojna jak i ty, odrzekła z pewną dumą, podnosząc głowę; wiem że nasza Renata jest wyższą nad tak nędzne próby—takie małostki nie zdolne jej zaniepokoić... ale czy dla tego nie mogłyby stać się dla niej przyczyną cierpienia?... Ah! gdybyś wiedziała, babuniu, z jakim drżeniem i obawą myślę niekiedy o jej przyszłości. Dopokąd jest przy nas, pod strażą tych starych murów i domowego ogniska, może być spokojna, bo potrafimy jej strzedz, bronić i kochać—a jakież nieszczęście może ją dotknąć, zasłoniętą puklerzem naszego przywiązania?... Ale któż ją ustrzeże od bolesnego ciosu, jeżeli wejdzie w świat bez nas? Będzie cierpieć ponieważ my nie zdołamy już uchronić ją od cierpienia, i kiedyś nasza ukochana Renata wróci do nas ze łzami w oczach, z zakrwawionem sercem.

— Ależ, Sylwio! odezwała się margrabina trochę rozdrażniona, czy podobna przewidywać jakieś tragiczne wypadki i tworzyć tak zatrważające przypuszczenia dla tego jedynie że nasza pieścioszka została zaproszoną na tańczące śniadanie? Jak gdy-

by ta wykwintna paryżanka miała pozostać na zawsze w la Tremblade; jakby po jej wyjeździe Renata mogła tu jeszcze znaleźć sposobność do światowych zabaw i rozrywek.

— Ha! może obawy moje są przesadzone, odpowiedziała Sylwia tonem pojednawczym, ale nie dziw się temu, babeiu, ja ją tak kocham, a dla przyczyn mnie wiadomych nie dowierzam temu wielkiemu światu i uśmiechom jego równie fałszywym jak olbrzymie warkoczki i brylanty!... Ale porzućmy już ten przedmiot: mówmy lepiej o sukniach, kwiatkach, i niech żyje wesołość!... Czy nie podzielasz mego zdania, Renato, że namyśliwszy się dobrze i pracując pilnie, potrafimy przygotować dla ciebie świeżą i gustowną toaletę?

Pocziwa ciotka Sylwia nie obiecywała nigdy nic więcej nad to co mogła dotrzymać. Renata zachwycała wszystkich swą pięknoscia, gdy ukazała się w salonie pani de Sarrans, w białej tarlatanowej sukni z bukietem róż przy staniku i w gierlandce z pączków różanych i konwalji na przepysznych kruczonych włosach. Wprawdzie trzeba było usunąć jedną jeszcze ważną trudność, chcąc, aby Renata mogła wziąć udział w tej zabawie. Sylwia oświadczyła stanowczo, że nie może wprowadzić siostrzenicy w ten świat wielki i modny, którego nie szanowała wcale i prawie nie znała; że dla tej wykwintnej paryżanki byłaby tylko niemiłym gościem; że margrabina posiadająca tak majestatyczną postawę i umiejąca nosić z taką godnością swój tytuł i nazwisko, powinna koniecznie towarzyszyć wnuczce; ale pani de Plouernel trudno było zdecydować się na to, nie chciała przerywać tym sposobem żałoby. Szczęściem, Gwidon przyjechał z Paryża, gdzie jeden z dalekich krewnych przyrzekł mu wyrobić miejsce przy ambasadzie. Wtenczas uczucie jakiejś radosnej dumy opanowało serce margrabiny. Czy nie miło jej będzie przedstawić w la Tremblade te ukochane dzieci, jaśniejące blaskiem młodzieńczej piękności, tem więcej, dodawała w myśli, patrząc na nich z uśmiechem zadowolnienia, że będą z pewnością ozdobą tej zabawy.

Takim to sposobem zostały usunięte wszelkie przeszkody, i ciotka Sylwia z najczulszą troskliwością ułożyła w dniu oznaczonym śliczne włosy swej ukochanej Renaty i ubrała ją w białą powiewną sukienkę, a następnie gdy odjechała z babką powozem przysłanym przez Alfreda Mercier, stała czas jakiś przed bramą, ścigając je zamyślnym wzrokiem, i mówiła w myśli, nie wiedząc że jednocześnie żyły płynęły z jej oczu:

— O, mój Boże! nie pierwsze to moje ukochane dziecię, nie pierwsza to już Renata, którą tak pieściłam, ubierałam... Teraz, tak samo jak wtenczas, patrzę za odjeżdżającą i pozostaje sama... Ha! trudno, dla mnie już wszystko skończone... Ale dla niej, mój Boże! dla niej!... Jakież los czeka tę drugą moją Renatę?

Tenże sam wonny wietrzyk, który przebiegając po nad krzakami osuszał żyły na pomarszczonej twarzy ciotki Sylwii, igrał o dwie mile dalej, z różnokolorowymi wstążkami i przejrzystymi sukniemi młodych pań i panienek, które korzystając z uprzejmego zaproszenia pani de Sarrans, rozmawiały wesoło pod cieniem pięknych drzew w la Tremblade. Mieszkańcy Goëlle zostali przyjęci z uprzedzającą grzecznością, połączoną z oznakami uszanowania, tak przez panią de Sarrans i Gastona, jak i przez wszystkie zgromadzone osoby. Pan Mercier, Alfred i Melina wybiegli pierwsi naprzeciwko nim, i ktoby w tej chwili spojrzął uważnie na Gwidona, byłby dostrzegł że oczy jego zatrzymały się z wyrazem żywej przyjemności połączonej z zadziwie-

niem, na ślicznej i miłutkiej twarzyczce Meliny. Trudno też było patrząc na nią domyślić się że była tylko parafianką zrodzoną w nędznej mieście, skromnym kwiateczkiem polnym. W błękitnej gazowej sukni z girlandką polnych dzwoneczków, nie dorównyujących barwą jej niebieskim oczom, a nade wszystko z tą swoją delikatną, piękną i pełną słodyczy twarzyczką, podobniejszą była do rzadkiego i ślicznego kwiatka wyhodowanego w cieplarni. Odpowiedziała uprzejmym ukłonem na powitanie Gwidona i odeszła z jego babką i siostrą gdy zaczął rozmawiać z Alfredem.

Jednocześnie Gaston, pani de Sarrans i osoby znajdujące się z nimi na tarasie, unosili się nad Renatą, przyznając jej pierwszeństwo nad Meliną.

— Jakież to wdzięk szlachetny, jaki spokój, jaka piękność! O! panna Renata byłaby olśniewającym zjawiskiem w naszych salonach, odezwała się ze szczerem zachwyceniem pani de Sarrans, a po chwili dodała ciszej: gdyby ją niebo obdarzyło choć perłami za jakie dziesięć tysięcy franków!

Gaston nie odpowiedział nic na te słowa matki, ale pomyślał patrząc na wysmukłą postać Renaty przesuwającą się między drzewami, że jak się znalazła ta śliczna biała sukienka, tak może kiedyś znajdą się i perły.

Następnie pani de Sarrans zawiązała poufną rozmowę z jedną z pań, której, na nieszczęście, zdawało się że zna interesa wszystkich sąsiadów równie dobrze a może nawet lepiej niż oni.

— Niech pani sama przyzna, że trudno byłoby znaleźć w tym całym departamencie, a może nawet dalej jeszcze, osobę tak piękną i posiadającą tyle wdzięku jak panna de Plouernel?... Jaka to szkoda że babka nie może jej dać żadnego posagu.

— Tak, ale ciotka może, szepnęła pani Babillon z tajemniczym uśmiechem.

— Jaki? jaka ciotka?

— Ta, która ją wychowała.

— Co! ta stara panna wysoka i chuda, ta panna Sylwia?

— Przyznaję że panna de la Tremarais nie jest bynajmniej osobą miłą w towarzystwie, ani też dystyngowaną, odpowiedziała pani Babillon, spoglądając z zadowoleniem na swą nową materyalną suknię i aż nazbyt pulchną figurę. Pomimo to jednak jest wnuczką armatora, po którym odziedziczyła wszystko... Mówią, że posiada dość znaczny majątek. Mówią, że ma domy w Saint-Servan i Saint-Malo.

— I pozwala na to aby siostrzenica przepędziła najpiękniejsze lata życia w tym samotnym starym domu, na stepie, bez dostatecznej usługi, bez niezbędnych wygod i przyjemności! O! to brzydki, szkaradnie!

— Droga pani, odpowiedziała pani Babillon z fałszywą pokorą, jest to tylko skutek przekonań mieszczańskich. My, plebejusze, zwłaszcza na prowincyi, nie przywiązujemy tak wielkiej ceny do zbyt wysokiego utrzymania. W każdym razie, jeżeli panna de la Tremarais nie wydaje teraz na przyjemności siostrzenicy tyle ileby mogła, pozostawi jej za to więcej po swej śmierci; a nie można nawet wątpić, że jej odda wszystko, gdyż nie tylko ją kocha, ale ubóstwia prawie. Tym sposobem panna Renata nie będzie tak ubogą jakby się mogło zdawać.

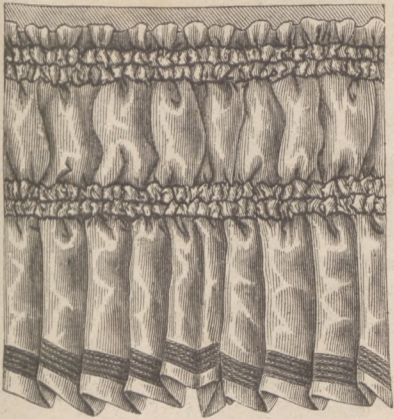
— Czy tak! zawołała pani de Sarrans, z takim wyrazem jakby w głowie jej zrodziła się nagle myśl jakaś. Kochana pani Babillon, dowiaduję się od pani bardzo zajmujących rzeczy... Miło usłyszeć coś podobnego, skoro idzie o tak śliczną panienkę.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 27.

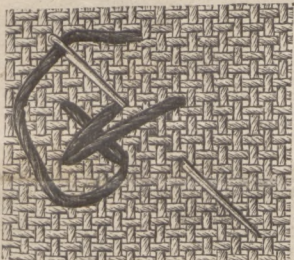
(Dokończenie.)

Model odrobiony z czarnego „satin merveil-leux” z podszewką z ponsowej surah, był suto garnirowany koronką czarną hiszpańską 13



N. 4. Garnirunek do sukni ryc. 12 w N-rze 27.

i 5 cent. szeroką i przystrojony pasmanterią z perłkami 11 i 2 cent. szeroką, oraz kokardami z wstążki w atłasie 6 cent. szerokiej. Po zeszytciu przodów, boczów i pleców podług oznaczonych liter zwierzchnią część rękawa przymarszczonego od punktu do krzyżyka, wszywa się od E przez D do G, a część małą spodnią zeszywa się ze zwierzchnią od G do H, łączy z przodem od A do G, a od H do I obrębia. Skośny, 70 cent. długi kawałek podszycy ponsową surah, przyszywa się do zwierzchniej części rękawa od dwu-

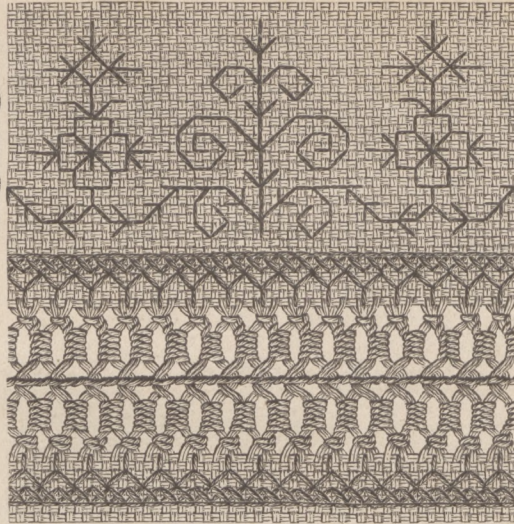


N. 9. Ścieg grecki podwójny. Ścieg prosty rozdzielający krzyżyki.

kropka do gwiazdki, z jednej strony się przymarszcza, z drugiej oszywa koronką i układa wachlarzowo, sposobem wskazanym na ryc. 48, na boczku i plecach. Z przodu płaszczek zapina się na haftki. Naszyte koronki i pasmantery widoczne na ryc. 47 i 48.



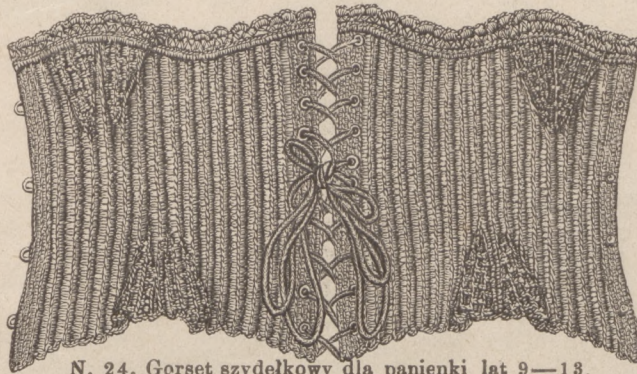
N. 1. Sznur do ryc. 48.



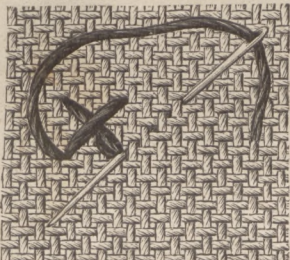
N. 2. Szlaczek i kratka do serwety ryc. 9 w N. 27.



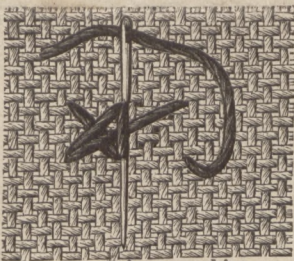
N. 3. Wiązanie kratki ażurowej.



N. 24. Gorset szydełkowy dla panienci lat 9—13.



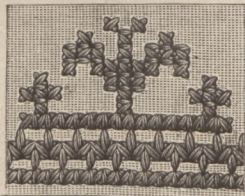
N. 8. Ścieg grecki podwójny. Rzęd w stronę prawą Ścieg skośny długi.



N. 10. Ścieg grecki podwójny. Krótki ścieg skośny.



N. 6. Majtki zapięte z boku.



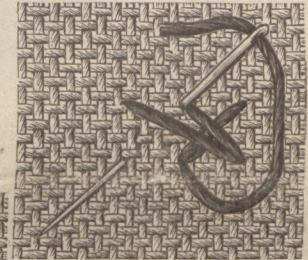
N. 14. Lewa strona ściegu greckiego, ryc. 15.



N. 11. Ścieg grecki podwójny. Krzyżyk skonczone i powtórzenie.



N. 13. Ścieg grecki podwójny. Rzęd w stronę lewą.

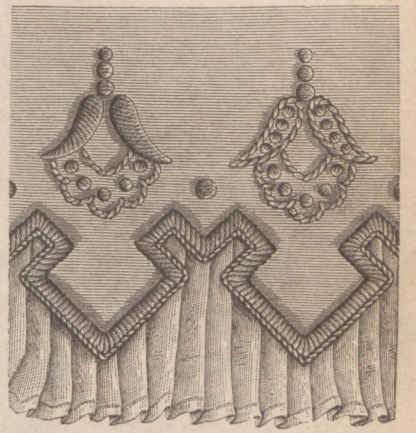


N. 12. Ścieg grecki podwójny. Rzęd w stronę lewą.

dziurki do przypięcia majtek do staniczka od spódnicy.

N. 8—15. Szlak wyszywany ściegiem dubeltowym greckim.

Grecki ścieg krzyżowy daje zarówno



N. 5. Falbanka i haft do ryc. 6.

N. 1—4. Opisy w N-rze 27.

N. 5—6. Majtki z boku zapinane dla małych dziewczynek. Krój N. X, fig. 47—47a.



N. 15. Szlak ściegiem greckim. Patrz ryc. 8—14.

jak i włoski haft na dwie strony, robi się także rzędami tam i napowrót idącymi, jedwabiem najlepszym purpurowym. Każdy rząd zaczyna się zwyczajnym krzyżykiem na dwie strony, a na zakończenie rzędu w miejsce długiego daje się ścieg krótki. Podkładać kanwy pod taką robotę nie można, lecz dobierać trzeba rodzaje płótna lub innych materiałów, wyrabianych naumyślnie z nitkami do brzo się odznaczającymi idącymi jak w płótnach zwyczajnych, albo podwójnie jak w próbie ryc. 2. Lubo chcąc mieć robotę piękną i równą, trzeba ją wykonywać w krośnach, gdzie igła osobno na każdym sztychu się wkłada, uczyć się jednak łatwiej w rękę, na grubym materiale, ażeby ściegi dokładnie się odznaczały; to też w ten sposób podajemy wybrane próbki z podpisami następstwa ściegów wyjaśniającymi. Ściegiem tym można jak włoskim odrabiać desenie jak na ryc. 15, albo też pokrywać całe tło a deseni zostawiać niezrobiony, jak na ryc. 9 w N. 25. Wykonanie odmiennych wążkich szlaczek ogradzających szlak szeroki, wskazaliśmy dokładnie na ryc. 21—24 w N. 16 Tygodnika.

N. 16. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

Sukienka z ażurowego, bawełnianego materiału, składa się z krótkiej spódniczki i staniczka wyciętego, w kontrafaldy układanego, złączonych szerokim prze marszczanym pasem. Szeroki szlak haftowany wywinęty jest gładko na obręb, ogarniany z brzegu marszczoną koronką. Sznużetka muslinowa ogarniowana rjuszą. Kapelusz słonkowy ubrany wstążką i kwiatami.

N. 17 i ryc. 46 w N. 27. Suknia ozdobiona przemarszczaniem „couliśse”. Krój VII, fig. 32.

Suknia z białego welnianego, krepowanego materiału, ozdobiona jest tak dziś modnym „couliśse”. Na fig. 32 dajemy model i miary połowy przedniego bryta draperyj tunikowej, która u dołu przyszywa się i odwraca w ten sposób, ażeby spadała podwójnie 25 cent., w górze zaś jest drobno na 17 cent. wysokości przemarszczana. Upięcie tylne układa się z dwóch długich, 60 cent. szerokich brytów. Garnirunek do ryc. 17, stanowią skóśnie naszywane, koronkowe wolanty, przedzielane



N. 16. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki.

N. 17. Suknia z przemarszczaniem (couliśse). Patrz ryc. 46 w N. 27. Krój na arkuszu N. VII, fig. 32.

N. 18. Suknia z długim vêtement.

N. 21. Mantyla z tkaniny sznelowej.

N. 19. Ubranie dla chłopczyka.

N. 16—20. Ubrania spacerowe. N. 23. Sukienka z bluzką i kołnierzykiem matrynarzki. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 8—9.

N. 24. Suknia z mantylą. Patrz ryc. 31 w N. 27. Krój mantyli na arkuszu N. II, fig. 10—15.

N. 25. Suknia ozdobiona i kapelusz koronkowy.

N. 26. Suknia z pelerynką i woreczkiem Pompadour.

N. 27. Okrycie z ażurowymi rękawkami. N. 28—29. Suknia z ozdobną koronką. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 64.

pasami „couliśse” Niezwykle w szlachownię układający się garnirunek na ryc. 46 w N. 27, stanowią wstążki kolorowe 6 do 8 cent. szerokie, (na modelu błado-niebieskie) w równych odstępach przedzielane mijającymi się kwadracikami z plisowanej koronki. Do staniczka z baskiną dodane jest z tyłu upięcie 35 c. długie u dołu w róg spiczaste zakończone, przdy z doli pla-tron faldowany i przemarszczony, kończący się na wcięciu w pasie, pod kokardą. Kołnierz matrynarzki ma 18 cent. środkowej szerokości.

N. 18. Ubranie z długim vêtement.

Na modelu spódnica ogarniowana bardzo szerokim plisowaniem, była z materiału gładkiego, a długie vêtement, z deseniowego, w takim samym kolorze. Kokardy i wypustki odmiennie dobrze odróżniające się koloru. Suta kreza, zabot i mankiety koronkowe. Kapelusz z cienkiej florenckiej słonki ubrany wstążką i koronką.

N. 19. Ubranie spacerowe dla chłopca.

Majtki i kamizelka zrobione były z jasnego, letniego, angielskiego materiału; zakłada z granatowego aksamitu, z płaskimi złotymi guzikami. Buciki wysokie ze sztykami. Kołnierz szeroki, wykładany, płócienny; krawatka kolorowa. Kapelusz słonkowy matrynarzki opasany wstążką granatową.

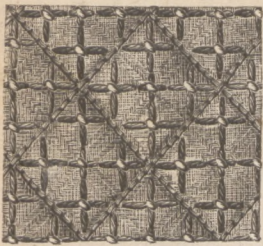
N. 20. Ubranie dla małego chłopczyka.

Formę takiej bluzki dał mi w r. przeszłym. Tak majtki jak i bluzkę prosto w środku albo skośnie z boku zapinaną, można odrobić z materiału welnianego albo z płótna kolorowego. Bluzka objęta jest u dołu pletnią kolorową welnianą, majtki osztyte 5 cent. szerokim szlakiem haftowanym, przy rękawach i wykroju szyi szlaczki mają 3 cent. szerokości.

N. 21. Mantyla z materiału sznelowego, z długimi szalowymi kołkami, oszta jest długa frendzła sznelowa, suto ozdobiona perlkami.

N. 22. Ubranie z mantylą.

Na spódnicy z szerokim plisowanym wolantem, tunika jest z jednej strony wysoko podpięta. Spacerowe ubranie dopel-



nia mantyla z takiego jak suknia materiału oszyta koronką.

N. 23. Sukienka bluzkowa dla małej pani. Krój N. XVII, fig. 68 do 69.

N. 35. Wyszycie do pantofla ryc. 36.

i miary podszewki gładkiej pod sukienkę, wierzch przykrawa się 5 cent. dłużej, brzeg przyszywa się do podszewki, a zbywający materiał spuszcza się bufiasto na prostą spódniczkę, mającą 160 cent. obwodu a 37 długości,



N. 40. Pas robiony na drutach.

w górze sfaldowaną i w pasek wszytą. Model z ciemno-szafirowego repsu oszyty był u dołu plisą z takiegoż pluszu 10 c. szeroką, przykrytą do połowy białą nicianą koronką. Szeroki kołnierz marynarski i mankiety haftowane albo koronkowe.

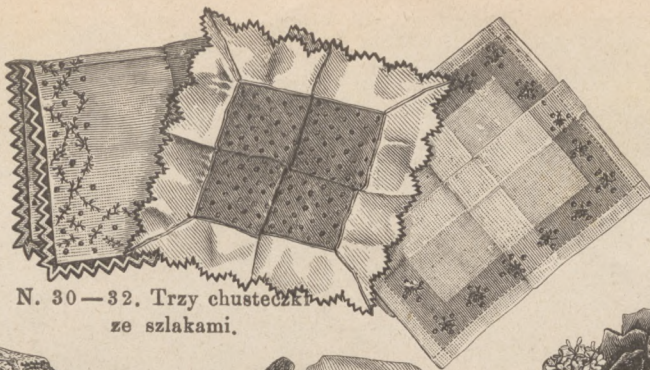
N. 24 i 31 w N. 27. Ubranie z mantylą. Krój mantyli i tuniki N. II, fig. 10—14. Tylna draperyja spódnicy widoczna na fig. 15.

Ryc. 24 i 31 przedstawia z przodu i z tyłu ubranie spacerowe z taką jak suknia mantylą, odrobione z wełnianego zielonawo-popielatego materiału. Mantylę kraje się podług formy podanej w naturalnej wielkości na fig. 10—13,

a mały model wskazuje jak się łączy fig. 10 A z 10 B, do których plecy wszywa się od Q do R. Karczki przemarszczony uклада się na podszewce przykrojonej podług fig. 12 i przyszywa na mantyli od S do T i od U do V, przemarszczenie



N. 46. Narożnik do ryc. 18 w N-rze 27.



N. 30—32. Trzy chusteczki ze szlakami.



N. 37. Kołnierz z krepy i koronki. Krój na ar. N. XXI, fig. 74.



N. 36. Pantofel kąpielowy. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 67.



N. 37. Czepek kąpielowy z daszkiem.

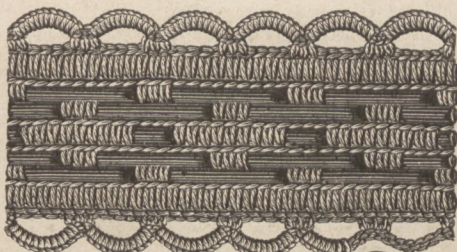
N. 34. Kapełusz z rondenem formą daszka.



N. 39. Ubranie kąpielowe lub do pływania. Krój na arkuszu N. XII, fig. 52 do 57.



N. 43. Torebka na przybory kąpielowe.



N. 44. Torsada do ryc. 43.



N. 38. Koszula kąpielowa. Krój i deseń na arkuszu N. XII, fig. 52—57.

dwukropka i od gwiazdki do gwiazdki przyszyć gładko z boków, a część środkową od gwiazdki do dwukropka przyfaldować i odwracaniem sposobem n dołu na spódnicy przyszyć.

Górny brzeg w sposób wskazany beduinowo ułożyć. Na modelu stanik z baskinią ubrany był atlasem, z którego daje się wielką kokardę z tyłu do mantyli.

(D. n.)

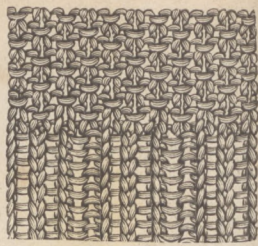


N. 45. Część koronki hiszpańskiej do ryc. 20 w N-rze 27.



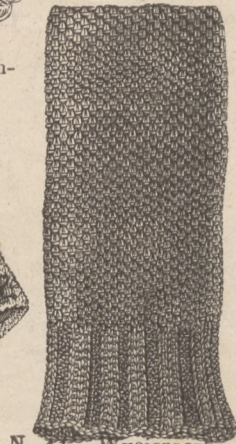
N. 47. Narożnik do ryc. 18 w N. 27.

dopełniające rękaw uклада się także na podszewce przykrojonej podług fig. 13. Na plecach daje się śpiczasto ścięte ubranie kapturkowe, mające około 30 cent. środkowej długości, a 16 górnej szerokości, objęte szeroką atlasową wypustką



N. 42. Robota na drutach do ryc. 41.

zarówno jak cała mantyla, pod którą daje się fularową podszewkę. Spódnica ozdobiona 38 cent. szerokim, bufowanym garnirunkiem, ukladanym z atlasu 56 cent. szerokiego. Fig. 14 przedstawia małe model i mia-



N. 41. Wycieraczka po kąpeli. Patrz ryc. 42.

zę draperyi złożonej z 3 części; a wyobraża połowę górnej, przedniej części, którą w odstępnie 30 cent. od paska naszywa się na spódnicy, z boków przemarszczona sposobem wskazanym na fig. 15, od dołu zeszywa z częścią b, sfaldowaną z boków. Długi bryt tylny c, trzeba z bocznych brzegów ściśle sfaldować, obrócić do góry i razem ze spódnicy wszyć w pasek, a cały bryt beduinowym sposobem spuścić na spódnicy. Następnie dolne brzegi od dwukropka do

N. I. Stanik z chusteczką i draperya tunikowa do ryc. 28-29 w N-rze 27 Tyg.

Fig. 1. Polowa plastrona (A, B) + + + + +
 Fig. 2. Przędki (A, B, C, D, J, K, P, 1-no zalamanie) —
 Fig. 3. Boczki (C, D, E, F) —
 Fig. 4. Część pleców (E, F, G, H, J) —
 Fig. 5. Druga część pleców (A, G, H, O, 1-no zalamanie) x x x x x
 Fig. 6. Rękaw (K, L, M, N) —
 Fig. 7. Polowa koliciera (O, P) —
 Fig. 8. Mały model połowy chusteczki.
 Fig. 9. Mały model połowy draperji, a połowa przedniego bryta, b połowa bryta tylnego.

N. II. Mantyla i draperya tunikowa do ryc. 31 w N-rze 27 i do ryc. 24 w N. 28 Tygodnika MÓD.

Fig. 10. Przednia część mantyli z liniami oznaczającymi przebieg formy.
 Fig. 10A. Pierwsza połowa przodu (L, V, X, z, +, 1-no zalamanie).
 Fig. 10B. Druga część przodu (Q, R, W, z, +, 1-no zalamanie).
 Fig. 11. Plecy (Q, R, S, U, 1-no zalamanie) —
 Fig. 12. Rękaw (S, T, U, V) o o o o o
 Fig. 13. Rękaw (W, X, z, +) —
 Fig. 10a do 13a. Mały model ustawionych części całej mantyli.
 Fig. 14. Model i miary draperji tunikowej a połowa górnej części przodu, b połowa dolnej części przodu, c bryta tylna.

Fig. 15. Spódnica z draperją podana z tyłu.
 N. III. Ubrania dla chłopczyka lat 3-5. Majtki, stanik spodni i bielizna. Ryc. 24 w N-rze 27.

Fig. 16. Majtki (a, b, c, d, e, f, g, h, x, 9 do x 11, 11) —
 Fig. 17. Polowa stanika z liniami oznaczającymi formę kamieszki (i, k) —
 Fig. 18. Polowa przodu bluzki (l, m, n, o, p, u, x, 3 do 4, 8, 8) —
 Fig. 19. Polowa pleców (l, m, n, o, p, u, x, 3 do 4, 8, 8) —
 Fig. 20. Rękaw (p, q, r, s) —
 Fig. 21. Polowa koliciera (z, u) —
 N. IV. Zakieta dla chłopczyka lat 4-6, do ubrania ryc. 33-37 w N-rze 27.

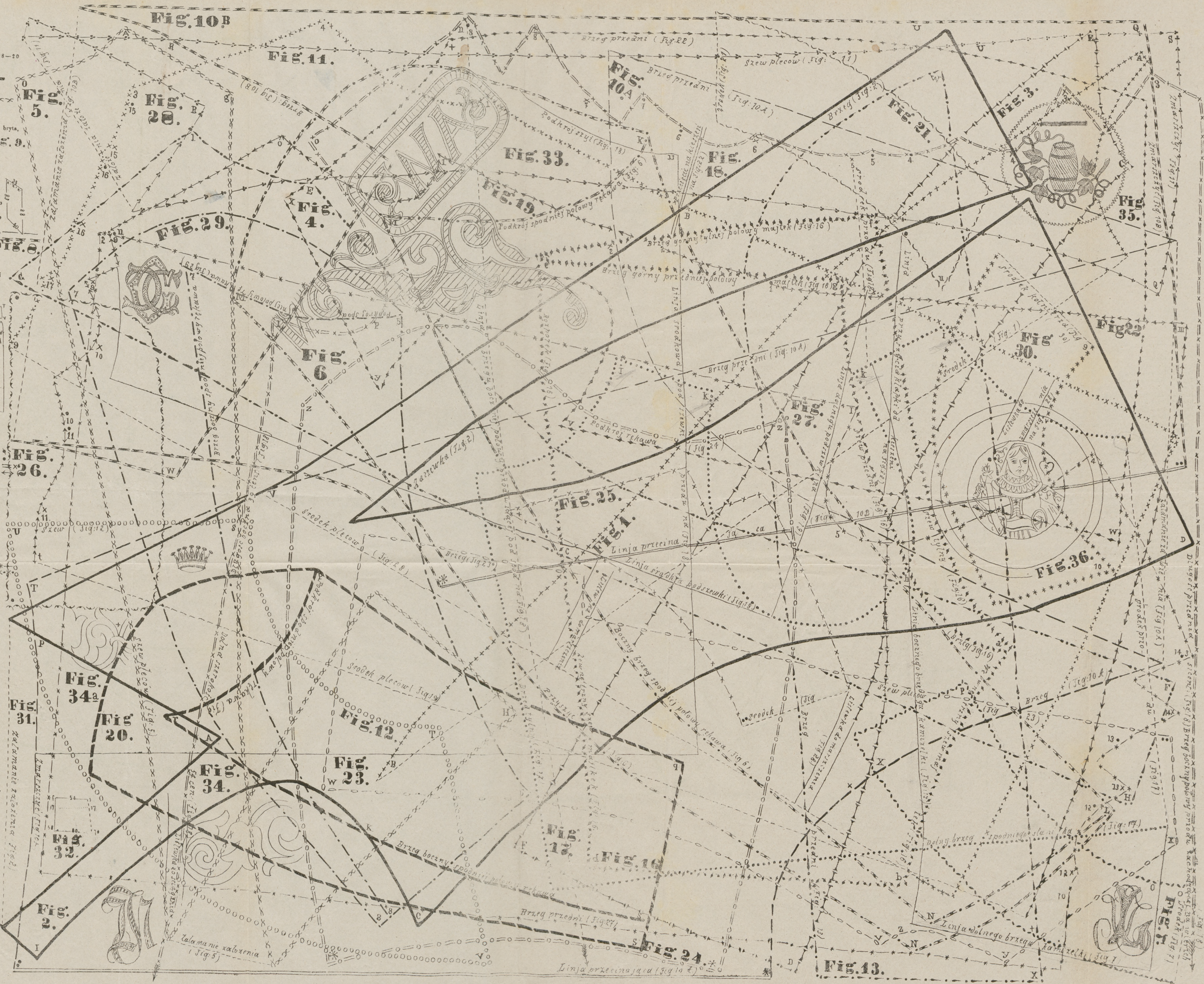
Fig. 22. Przędki (v, w, x, y, z, x, x) —
 Fig. 23. Plecy (v, w, x, y, z, x, x) —
 Fig. 24. Rękaw (z, u) —
 Fig. 25. Polowa koliciera (z, u) —
 Fig. 26. Paska do kieszeni (z, u) —
 Majtki, stanik i kamieszka przykroć podług Fig. 16 i 17.
 N. V. Długi bluzkowy stanik do sukienki dla dziewczynki lat 4-7 Ryc. 33 w N-rze 27.

Fig. 27. Przędki (z, 2, 3, 4, 5, 10, x 12, 12, do x 14, 14) —
 Fig. 28. Polowa pleców (1, 2, 3, 4, 9, x 15, 15 do x 17, 17) —
 Fig. 29. Rękaw (5, 6, 7, 8) —
 Fig. 30. Polowa koliciera (9, 10) —
 N. VI. Sukienka z dodaną częścią spodniczkową, dla dziewczynki lat 8-10. Rycina 2-13 w N-rze 27.
 Fig. 31. Zmniejszony model i miary sukienki, a połowa plastrona, b przód i boczki, c połowa pleców.
 N. VII. Przemarszczona draperya tunikowa do sukni ryc. 46 w N. 27 i 17 w N. 28.
 Fig. 32. Zmniejszony model i miary połowy przedniego bryta draperji.

Fig. 33. Część środkowa deseni do listu renaisance, na tekę ryc. 18 w N-rze 27.
 Fig. 34. Dokończenie deseni na krótszą stronę Do szlaku z narożnikiem podług Fig. 34a. Dokończenie deseni na dłuższą stronę
 Fig. 35. Desień do wywyższenia na sznaku do kufła w N. 28 na ryc. 46 od pisa ryc. 16 i 17 w N. 27.
 Fig. 36. Desień do wypalcenia soczewcom na cyjnie, na przykrywce do kufła od pisa, ryc. 14 w N. 27.

Desenie do ryc. 14, 15, 16, 17 i 18 w Nrze 27 i do ryc. 46-47 w N-rze 28.

Fig. 33. Część środkowa deseni do listu renaisance, na tekę ryc. 18 w N-rze 27.
 Fig. 34. Dokończenie deseni na krótszą stronę Do szlaku z narożnikiem podług Fig. 34a. Dokończenie deseni na dłuższą stronę
 Fig. 35. Desień do wywyższenia na sznaku do kufła w N. 28 na ryc. 46 od pisa ryc. 16 i 17 w N. 27.
 Fig. 36. Desień do wypalcenia soczewcom na cyjnie, na przykrywce do kufła od pisa, ryc. 14 w N. 27.



N. VIII. Płaszczki z hiszpańskimi rękawami ry. 47-48 w N. 27.
 Fig. 37. Przęd (A, G, D, Q)
 Fig. 38. Boczak (A, B, Q, F)
 Fig. 39. Płoty (C, D, E, F)
 Fig. 40. Zwierzchnia część rękawa (D, E, G, H, J, *; +, 1-no załamane)
 Fig. 41. Spodnia część rękawa (A, G, H, J)
 Fig. 37a-41a. Zmniejszony model razem zestawionych części mantyli ry. 47 i 48 w N. 27.
 N. IX. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 8-10. ry. 12 w N. 27.

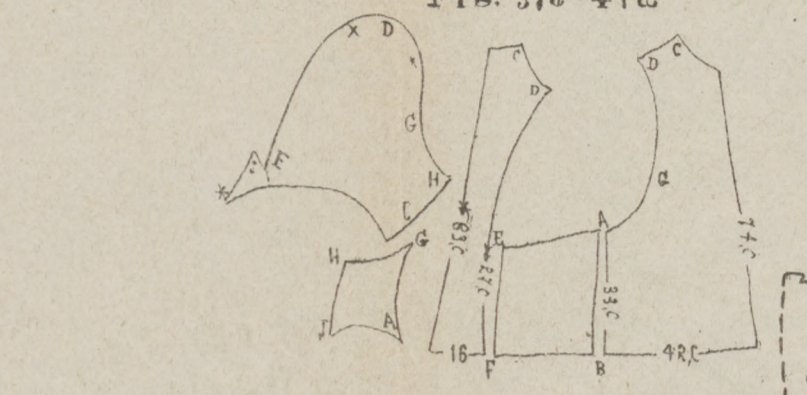


Fig. 42. Przęd i boczak (K, L, M, O, P, Q, *; +)
 Fig. 43. Płoty (M, N, O, P)
 Fig. 44. Rękaw (Q, R, S, T)
 Fig. 45. Kieszonka (*; +)
 Fig. 46. Przęd i sukna.
 N. X. Majtki z boków zapinane dla dziewczynki lat 4-6 ryci-
 ma 2 i 6 w N. 25.
 Fig. 47. Połowa majtek (U, V, W, X, Y, Z, *)
 Fig. 47a. Desen do hafsu.
 N. XI. Ubrania do kąpiel z bluzką faldowaną. Ry. 38 w N. 28.
 Fig. 48. Majtki (a, b, c, d, *; +, 1-no załamane)
 Fig. 49. Połowa przodu i pleców do bluzki faldowanej (e, f, * 1-1 do * 3-3)
 Fig. 50. Połowa karczka do przodu i pleców (e, f) + + +
 Fig. 51 i 51a. Desenie do hafsu.
 N. XII. Koszula kapciolowa z karczkiem. Ry. 32 w N. 28.
 Fig. 52. Karczka do przodu (g, h, k) = = =
 Fig. 53. Karczka do pleców (g, h, i) = = =
 Fig. 54. Model i miary przedniej i tylnej połowy stanca.
 Fig. 55. Połowa rękawa (h) o o o o o
 Fig. 56. Połowa marynarskiego kołnierza (i, k) x x x x x
 Fig. 57 i 57a. Stosowne desenie do hafsu.
 N. XIII. Zakłada do ubrania do gimnastyki dla chłopca lat 6-8.
 Ry. 39 i 39 w N. 27.
 Fig. 58. Przęd (l, m, n, o, p, u, *; +, *)
 Fig. 59. Połowa pleców (l, m, o, q, t) = = =
 Fig. 60. Rękaw (p, q, r, s) = = =
 Fig. 61. Połowa kołnierza (t, u) = = =
 Fig. 62. Patka do kieszonek na piersiach (*; +) * * *
 Fig. 63. Patka do bocznej kieszeni (+, *) * * *
 N. XIV. Draperya do sukni ry. 28-29 w N. 28.
 Fig. 64. Model i miary draperyi 18 bity przednio, c i d bity tylnie.
 N. XV. Czapeczka z szerokim daszkiem do kąpeli. Ry. 37 w N. 28.
 Fig. 65. Czarna część dasz (u, v) = = =
 Fig. 66. Połowa daszka (u, v) = = =
 N. XIV. Pantofel kąpielowy. Ry. 35-38 w N. 28.
 Fig. 67. Połowa pantofla = = =
 N. XVII. Bluzkowa sukienka z marynarskim kołnierzem dla małej panienki. Ry. 28 w N. 28.
 Fig. 68. Model i miary połowy sukienki a) przodek, b) połowa pleców.
 Fig. 69. Połowa marynarskiego kołnierza.
 N. XVIII. Szeroki kołnierz. Ry. 25-27 w N. 27.
 Fig. 70. Połowa kołnierza. * * * * *
 N. XIX. Kołnierz haftowany. Ry. 21-22 w N. 27.
 Fig. 71. Połowa kołnierza wraz z deseniem.
 Fig. 72. Inny desen do hafsu.
 N. XX. Płoty i boki do stanika, od sukni, do ry. 30 w N. 27.
 Fig. 73. Mały model i miary tylnej połowy stanika.
 N. XXI. Kołnierz chusteczkowy. Ry. 33 w N. 28.
 Fig. 74. Model kroju i miary połowy kołnierza chusteczkowego.
 Fig. 75. Gałzka róży, desen do hafsu płaskiego do serwetki ry. 20 w N-roze 28.
 Fig. 76. Desen do hafsu krzyżowego i gobelinowego do ry. 4, w N. 27.

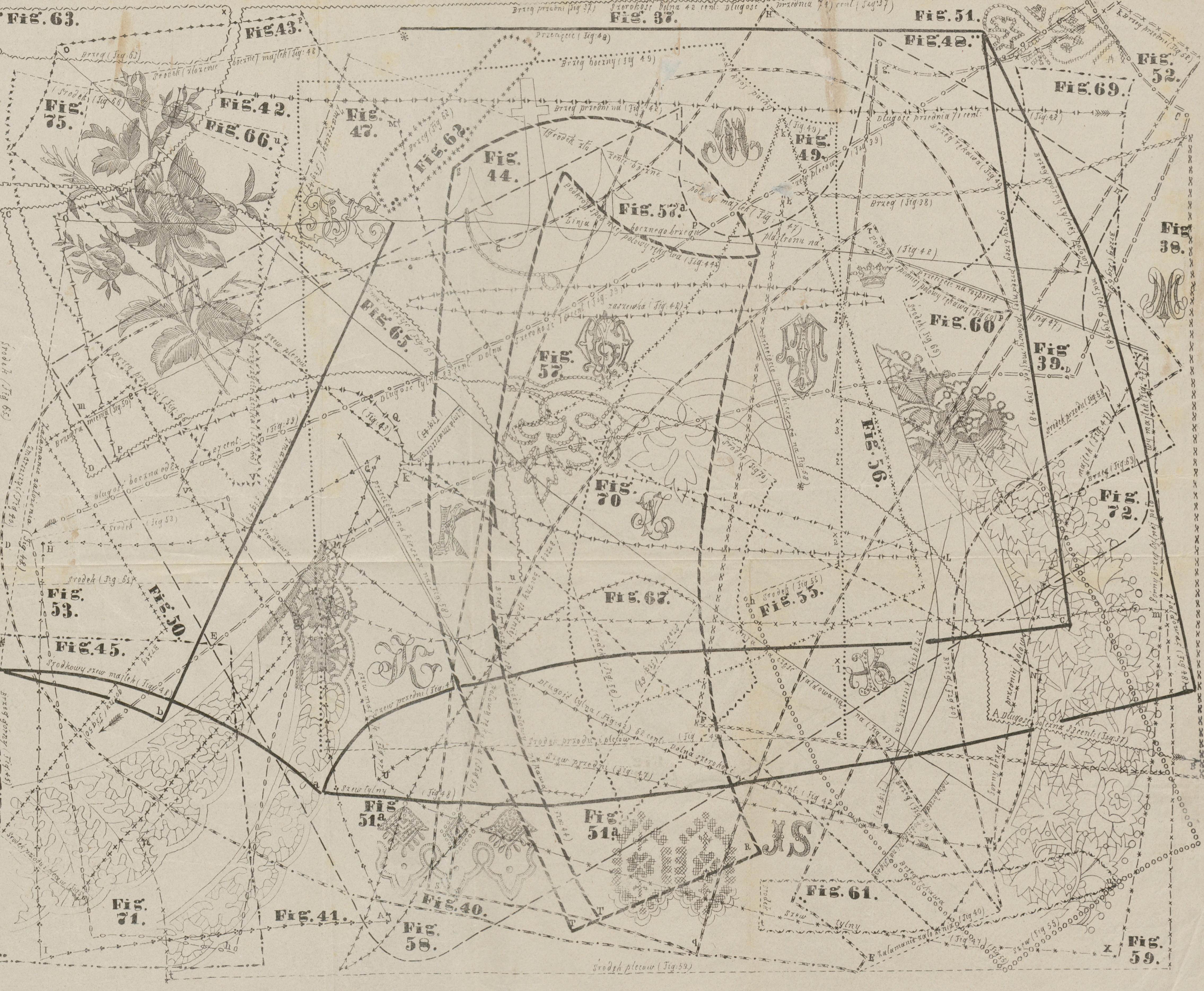
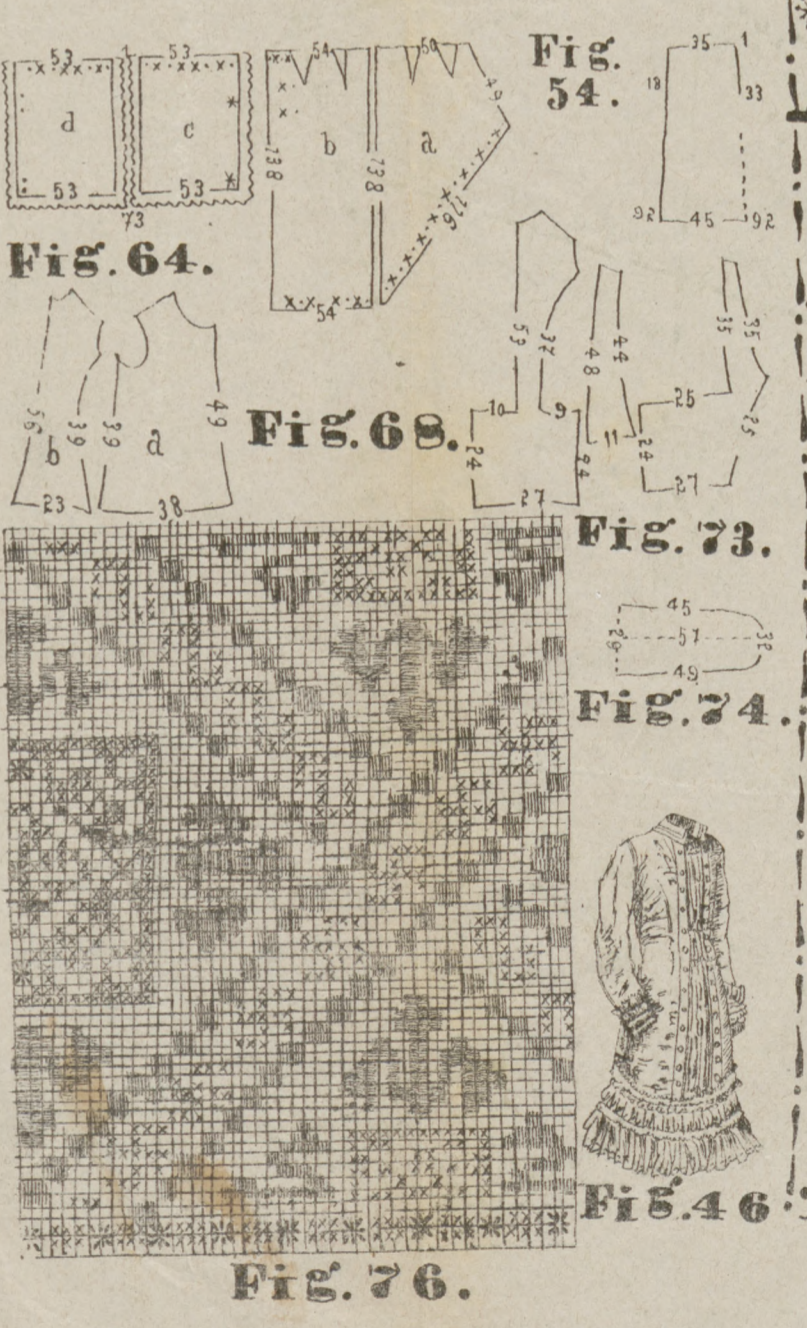


Fig. 76.